

Ba 26402

ÓB KOŁAS

*Op 9524*

**W  
PRZESTWORY  
ŻYCIA**

PRZEKŁAD Z  
BIAŁORUSKIEGO  
J. MIRECKIEGO



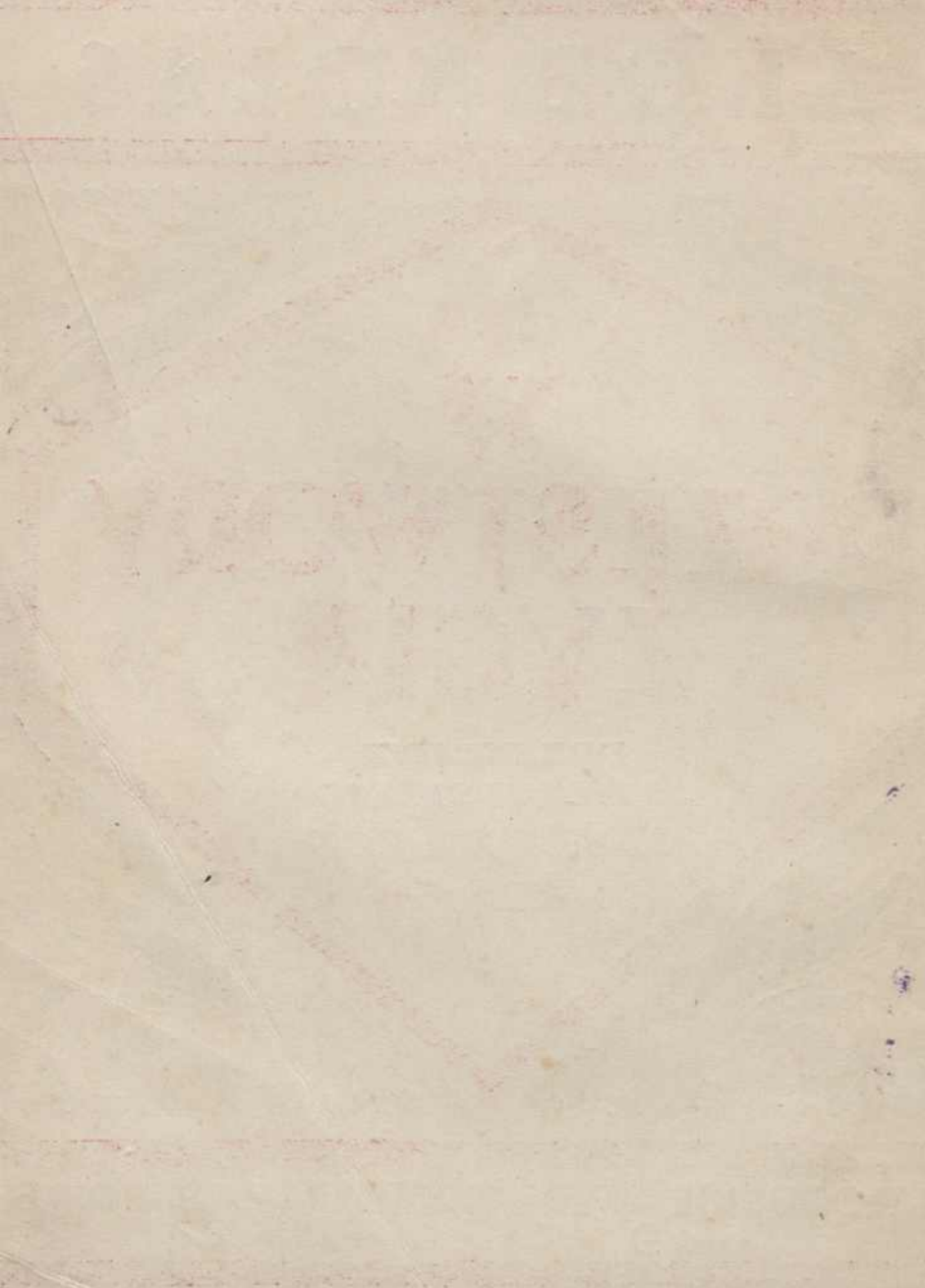
BIAŁORUSKIE WYDAWNICTWO PAŃSTWOWE

1

9

2

8



5a 26402 ~~5a 26401~~

JAKÓB KOŁAS

# W PRZESTWORY ZYCIA

Przekład z białoruskiego  
J. Mireckiego

№ 1983 г. 5к 26402

Бел. аддзял.  
1994 г.

BIAŁORUSKIE WYDAWNICTWO PAŃSTWOWE

1 9 2 8

25. 04. 2009

Obstalunek № 109.      Nakład 1500 egz.      Głównitbieł № 346.

1-sza tłocznia Białor. Wydawnictwa Państwowego.

— «Powinniście utorować sobie drogę i wyjść w szerokie przestwory życia.

— A gdzież są te szerokie przestwory?

— W szerokim rozmachu pracy społecznej».

## CZEŚĆ I

### Na progu.

#### I

Stefan—człowiek poważny, chociaż ma zaledwie dwanaście lat. Czasami tylko uzewnętrznia się jego młoda, burzliwa natura, i wtedy Stefek, jak i wszyscy ludzie w jego wieku, da wyraz swemu młodzieńczemu rozpędowi: przebiegnie ulicą tak, że aż wiatr w uszach zagwiżdże. Albo wywinie w powietrzu takiego kozła, że niejeden akrobata mógłby mu pozazdrościć.

Ale to ani troszeczkę nie szkodziło rozgłosowi o jego powadze. Jeszcze można byłoby odznaczyć w nim jeden rys, który też jakby przeczył nieco tej powadze.

Rzecz w tym, że kiedy Stefek kręci się na ulicy, za każdym razem nawinie mu się przed oczy ta Helenka, córka Andrzeja. Stoi sobie koło furtki swej zagrody. Jasne, życzliwe jej oczęta spoglądają na Stefka, a na usteczkach świeci się łagodny uśmieszek. Przebiegając, Stefek tylko błysnie ku niej swemi szaremi oczyma, marszcząc przytym groźnie brwi, ale nie ma czasu rzucić jej choćby jednego słowa—i mknie dalej. A Helenka stoi i prowadzi za nim swemi jasnymi oczętami.

Kiedy zaś Stefek biegnie z powrotem, to już o kilkanaście kroków przed zagrodą Helenki zwraca groźnie głowę w jej stronę. A Helenka niezawsze może wytrzymać i powie mu czasem:

— A jabym cię dopędziła.

Powie i uśmiechnie się. Uśmiech ten wyraźnie świadczył o tym, że Helenka nie miała by nic przeciw temu, aby pości-gać się ze Stefką.

Ale czyż Stefek zgodzi się na to?

Czy może on dopuścić do tego, aby się stowarzyszyć z ba-bami.

Po pierwsze, on ma dwanaście lat, a ona tylko dziesięć, po wtóre, on—to mężczyzna, a ona—baba.

Więc Stefek jeszcze groźniej błysnie oczyma, jakby chciał ją zetrzeć z oblicza ziemi i mknie dalej, a Helenka, urażona w najlepszych swych zamiarach, w swym porywie szczerości, stoi osowiała, uśmiech gaśnie na jej twarzy.

Ukończywszy szkołę początkową Stefan stał się jeszcze po-ważniejszy. A było to wtedy, gdy miał już lat trzynaście.

Helenka również chodziła do szkoły. I najciekawsze było to, że chociaż „baba“, ale wyprzedziła znacznie „mężczyzn“, co bardzo dziwiło Stefkę, ponieważ podrywało to podstawy jego pojęcia o „babach“, jako o istotach niższego typu, niż, powiedzmy, nasz brat—mężczyzna.

Stefek był człowiekiem bardzo zajęтым. Od ósmego roku życia, czy bodaj wcześniej, musiał on już, jak i wszystkie dzie-ci wsi, brać udział w budowaniu życia, jeśli się tak można wyrazić. Trzeba było i matce w chacie dopomóc, i swni dopillnować, i konia napaść, i z broną za ojcem w polu pochodzić... Czyż to brak kiedy roboty w gospodarstwie? Mówiąc jednak szczerze, robota ta nie nazbyt interesowała i pociągała Stefkę: bardziej zaciekawiała go książka... Ach, gdybyż miał

pieniądze: wtedy kupiłby sobie książek, książek! Całe nieszczęście, że pieniędzy tych niema, od ojca ich nie wziąć—golizna!

Skończył Stefek szkołę.

Nauczyciel powiedział mu:

— Nie porzucaj, Stefku, nauki: wielkie masz zdolności. Przychodź do mnie, kiedy czas pozwoli—poduczę cię, do wyższej szkoły wstąpisz. Będzie z ciebie pociecha.

Zamyślił się Stefek. Dobrze byłoby się jeszcze pouczyć.

Przyszło lato, wciągnął się do gospodarskiej roboty, nawet dumkom swym nie było czasu się oddać.

## II

W dwunastym roku życia skończyła szkołę i Andrzejowa Helenka. Egzaminy złożyła lepiej nietylko od uczniów swojej szkoły, ale wyróżniła się swymi zdolnościami z pośród uczniów wszystkich szkół, którzy byli na tym egzaminie. Wsławiła się na całą wieś. Posłyszał o tym Stefek, zazdrość ukryta zbudziła się w nim.

„Czyżby naprawdę była taka zdolna?“ myślał sobie i nie chciał dać wiary. Pół godziny pewno nie mógł zasnąć, myśląc o uczoności Helenki. Przypomniawszy, że sam zaniedbał naukę i zrobiło mu się niewesoło na sercu. Z głowy nie wychodziły mu te myśli. Wreszcie postanowił zobaczyć się z Helenką. Tylko trzeba to urządzić tak, aby spotkanie było przypadkowe.

Nazajutrz raniutko przeszedł mimo chaty, w której mieszkała Helenka. Nie było jej. Przeszedł drugi raz, ale Helenki wcale nie było widać.

Czemu to dawniej sterczała ona tu za każdym razem, kiedy się tylko Stefek pokazał? Chyba jej w domu niema? A może tak zhardziiała, że nie chce już nawet spojrzeć na niego?

Potym Stefek pomyślał, że ona napewno boi się pokazać mu się na oczy, żeby nie zadał jej jakiego pytania z lekcji,

a Stefek, jeśli chcecie wiedzieć, taki właśnie zamiar miał na myśli: chciał się przekonać o jej uczoności i jej zdolnościach. A i tak naogół chciał się z nią zobaczyć.

Przespacerować się po raz trzeci Stefek nie odważył się: łatwo mogło się zdarzyć, że ktoś z sąsiadów zwróciłby na niego uwagę i mógł odgadnąć tajne jego zamiary. Cóż mógłby odpowiedzieć, gdyby go zapytano, czemu się włóczy koło Andrzejowej chaty?

Ludzie mogliby sobie pomyśleć licho wie co: gotowi byliby powiedzieć, że zaczyna się zalecać do Helenki. Oto dlaczego, minąwszy chatę Helenki i nie spotkawszy dziewczyny, Stefek uciekł się do podstępu: zawrócił i przeszedł ulicę naukos. Naprzeciwko jej chaty, po drugiej stronie ulicy, znajdował się ogródek Olesi Honczarowej. W tym ogródku rosły pod oknami śliczne kwiaty. Temi to kwiatkami właśnie zachwyca się Stefek. Jednym okiem spogląda na kwiatki, a drugim zerka niepostrzeżenie i na okna chaty Helenki... Ale nic z tego. Helenki nie widać. I spoglądać na okna jakoś niezręcznie, i tutaj stać długo nie wypada. Wtym zauważył bociana nad wsią. Leci nisko ponad chatami. Pogonił wzrokiem za bocianem ale i na chatę Helenki spojrzeć nie zapomniał... Całkowite niepowodzenie. Poszedł dalej ulicą, minął trzy — cztery chaty, przeszedł znowu na tę stronę ulicy, zawrócił i ostatni raz przespacerował się mimo chaty Helenki.

— Tfu, głuptas! — zwymyślał sam siebie Stefek i zawrócił do domu. — Patrzenie, jaka królowa! — i z najniewinniejszą miną zagwizdał jakąś wesołą melodję.

A Helenka widziała Stefana. Stała w chacie koło okna i widziała, jak przechodził ulicą. Pomyślcie, jaka przebiegła! Ukryła się przy oknie i śledzi Stefka, ale sama się nie pokazuje. Domyśla się Helenka, że Stefek nie miałby nic przeciw temu, aby się z nią spotkać, ale boi się zawodu. Widzi jak Stefan na kwiatki spogląda i jak za bocianem oczyma wodzi.



Już zdecydowała się wyjść, ale ją matka czymś zatrzymała, a kiedy wreszcie znalazła się na podwórku, Stefan pogwizdując wchodził już do swojej zagrody. Jeśli spojrzy jeszcze w jej stronę, to wtedy może być pewna, że chodził on tu naumyślnie, aby się z nią zobaczyć. Ale, nie—nie obejrzał się.

### III.

To niepowodzenie trochę onieśmieliło Stefka. Równie nieprzyjemnie zrobiło się Helence na myśl, że Stefan mógł tak sobie spacerować po ulicy, nie mając na uwadze jej osoby. I w tej samej chwili, kiedy Stefek medytował nad tym, czy Helenka była w domu i wprost nie chciała się z nim spotkać, bo była taka chwila, kiedy zdawało mu się, że stoi ona w chacie koło okna,—Helenka łamała sobie głowę, myśląc o tym, czemu to Stefan wędrował koło ich chaty. Chciało jej się wierzyć, że Stefan miał zamiar pogawędzić z nią. Ale przecie nie spojrzał w jej stronę, kiedy wchodził na swoje podwórze, a ta okoliczność, zdaniem Helenki, świadczyła o tym, że chodził on tak sobie. Ale, wiadomo, gdy to lub inne przypuszczenie jest nam nie na rękę, to zazwyczaj nie chcemy mu dawać wiary.

Tak więc i Stefan i Helenka w ostatecznym wyniku całego zajścia mieli wątpliwości. I Stefek i Helenka chcieli te wątpliwości wyjaśnić. Stefek jednak był człowiekiem twardym. Nigdy nie pozwolił sobie pójść tam raz jeszcze. O, niedoczekanie jej! Ale i Helenka—dziewczyna z honorem. Nie zapomniała przecie, jak Stefek ją kilkakrotnie obrażał. Pamięta dobrze, jak chciała z nim biegać, a on tylko wilkiem na nią popatrzy—ani przystąpił! Jak ona mogła dojść do tego? Jedno ją tylko usprawiedliwia—głupia była jeszcze wtedy. I teraz ma go jeszcze może szukać? Nigdy!

Jasne, łagodne jej oczęta przybrały niezwykle srogi wyraz.

Oto, co zrobi: weźmie swoją książkę, a taka książka Stefanowi nawet się nie śniła, i pójdzie czytać pod magazyn. Pewien

nauczyciel podarował jej na egzaminie tę książkę. Był to «Kobzar» Tarasa Szewczenki. Nauczyciel powiedział jeszcze:

— Jakaś ty mądra i miła! Masz na pamiątkę ode mnie.

Jakiż to był dobry nauczyciel! Drugiego takiego napewno niema na świecie. Skoczyła Helenka do chaty. Wzięła Tarasa Szewczenkę, zarzuciła na ramiona chusteczkę, przejrzała się w lusterku w blaszanej oprawie i wyszła na ulicę.

Do magazynu można było przejść bliżej ogrodami, ale któż jej zabroni iść ulicą.

Otworzyła książkę, idzie i czyta:

Rewe ta stólnie Dnibr szyrokyj,

Serdytyj witer zawywaw.

A idąc obok Stefkowej chaty, tak się przejęła czytaniem, że szła powoluteńku, zaledwie poruszając nogami.

A Stefek tymczasem, oderżnąwszy pajdę chleba, stał w izbie przy oknie, spozierał na ulicę i rozmyślał poważnie, żując chleb. A tu—Helenka z książką idzie. Cała powaga i cała stanowczość Stefkowa znika odrazu. A kiedy zobaczył jeszcze taką wspaniałą książkę, stracił zupełnie panowanie nad sobą.

Książka i tylko książka zmusiła go do wyskoczenia na ulicę, bo gdyby Helenka szła bez książki, nie drgnąłby nawet.

Chociaż Helenka mocno była zajęta czytaniem, nie przeszkodziło jej to jednak zauważyć Stefka. Stefek stał koło furtki.

— Helenko!

Stefan zawołał dosyć głośno. Helenka tak jest jednak przejęta czytaniem, że nawet oczu od książki nie odrywa, a tymczasem myśli—spojrzeć na Stefka, czy nie?

Gdyby jeszcze raz zawołał, obejrzałaby się.

A Stefek zastanawia się, co ma robić dalej.

— Helenko!—zawołał głośniej.

Helenka wystraszona niby, nagle się zatrzymuje i spogląda na Stefka tak, jakby go o sto wiorst od wsi spotkała.

— Co to za książkę masz? Daj obejrzeć!

Stefan zbliża się do Helenki. W głosie jego odczuwa Helenka szacunek dla niej i grzeczną prośbę.

I Helenka nie może już zachować powagi i uśmiecha się przyjaźnie.

— A to mi taką książkę nauczyciel podarował na egzaminach,—odpowiada i pokazuje książkę Stefkowi.

— Ale dziwnie ona jakoś napisana, trochę jakby po naszemu,—mówi Stefek.

— To jest ukraiński język, a napisał tę książkę Taras Szewczenko,—tłumaczy Helenka.

— To „chochłacki“ język?—pyta Stefan.

— Nie „chochłacki“, a ukraiński. A mówić „chochłacki“—to obraza.

Dziwi się Stefek. Dziwi go książka, dziwi mądrość Helenki, i już nie ma odwagi egzaminować jej.

— Śliczna książka,—mówi:—a za cóż ci ją dali.

— A za to, że najlepiej ze wszystkich egzamin zdałam,—dumnie odpowiada Helenka.

— Widzicie... Jakaś ty szczęśliwa!

— A ja cię widziałam, gdyś koło Honcezarowych na kwiaty patrzył.

— Gdzieś ty była?

— W domu.

— Dlaczego ja cię nie widziałem?

— A czyś chciał mnie widzieć?—przyłapała Helenka Stefana. Stefek zmieszał się trochę.

— No, chciałem,—przyznaje się jednak.

Helenka jest całkiem zadowolona.

— Chcesz, będziemy czytać razem? Pójdziemy ot tam, pod magazyn, będziemy czytać.

Stefek drapie się w głowę.

— Ja dzisiaj nie mam czasu. Chyba już innym razem.

— Jak uważasz,—odpowiada Helenka i wesoło idzie dalej, nie zaglądając już do książki. A Stefan zatrzymał się koło furtki i spogląda na Helenkę, dokąd mu nie znikła z oczu. I nie obejrzała się nawet.

#### IV

Okazało się, że Helenka miała przewagę nad Stefkiem. On skończył szkołę, i ona skończyła—i to jeszcze jak! Książkę jej nawet podarowano. I wie ona, dlaczego nie należy mówić „chochlacki“ język.

Dowiedział się Stefek, że Helenka ma zamiar uczyć się dalej. Jej łatwiej, bo u nich prędzej się bez niej obejda, niż w domu bez niego. I ojciec jej bogatszy, niż jego ojciec. Czyż jednak ma on już tak pozostać bez nauki?

Wiele rozmyślał nad tym Stefek. I postanowił zabrać się poważnie do nauki. Ale jak? Czasu brak i, co najważniejsza, brak książek.

Wtedy przypomniał sobie nauczyciela. Wybrał wolną chwilę i poszedł do szkoły. Nauczyciela zastał akurat w domu.

— Jak się masz, Stefku! Co porabiasz?

Wypytywał go nauczyciel, pogawędził z nim.

— A ja przyszedłem do was—czy nie moglibyście mi książek jakich pożyczyć?

— A jakich książek chciałbyś?

— A tak, żeby się poduczyć można trochę.

— Więc ci podręczników trzeba. Przygotowywać się chcesz?

— Chciałbym.

— No, a dokąd?

— Choć gdziekolwiek.

Nauczyciel pomyślał trochę.

— Wiesz co, Stefku, spróbuj ty wstąpić na rabfak. Przygotuj się i zaryzykuj. Książek ci dam; jeśli czego nie zrozu-

miesz, przychodź do mnie—wytłumaczę. Tobie chętnie dopomogę. Z twojemi zdolnościami i pilnością—wiele dokonać można.

Nauczyciel dodał Stefkowi otuchy i ochoty do nauki. I wrócił Stefek do domu jakby inny człowiek.

Każdą wolną chwilę spędzał nad książką i pracował niepostrzeżenie, bez hałasu. Pisać uczył się sam, stworzył sobie własne metody.

Po miesiącu poszedł do nauczyciela.

— No, jak tam z twoją nauką?

— A zapytajcie mnie.

— Dobrze.

Przeegzaminował nauczyciel Stefka.

— Zuch z ciebie, chłopcze,—po kilku pytaniach powiedział nauczyciel,—a jak się przedstawia sprawa z pisaniem?

Zamiast odpowiedzi Stefek wyciągnął z zanadru cały zwiitek papierków.

Obejrzał nauczyciel, wziął się do czytania.

Stefek pilnie śledził wyraz twarzy nauczyciela. A twarz ta rozjaśniała się coraz bardziej.

— Zuch, słowo daję, zuch! I poprawnie, i rozumnie; z ciebie naprawdę jakiś literat wyrośnie!

Stefan rósł, jak na drożdżach.

— No, a teraz trzeba się wziąć do matematyki. Zaczniemy najpierw od arytmetyki. Siadaj, wytłumaczę ci coś niecoś.

Usiedli. Zaczęli od ułamków. Wytłumaczył mu nauczyciel pochodzenie ułamków, ich własności, dodawanie, odejmowanie, mnożenie i dzielenie. A wreszcie dał mu książkę, by sam spróbował się w niej zorjentować.

Stefan wesoly wracał do domu, aby w wolnej chwili zabrać się do ułamków. Czy nie wstąpić teraz do Helenki? Chciał się przed nią pochwalić i zadać jej kilka pytań, które mu stawiał nauczyciel. Nie, tymczasem lepiej nie jej nie mówić.

Minął rok.

Pod jesień jakoś powiedziała Stefkowi Helenka:

— A wiesz, Stefku: na zimę chcę wstąpić do siedmiolatki. Stefan pozornie nie zdziwił się ani trochę, jakby wiedział, że Helenka zimą pojedzie gdzieś do szkoły. I zapytał tylko:

— Do której siedmiolatki?

— Do Zagórskiej.

— A dlaczego to wybrałaś Zagórską, do Trościanieckiej przecie bliżej.

— Bo w Zagórskiej lepiej, widzisz, uczą.

— Ano, chyba tak,—z namysłem powiedział Stefek.—A gdzie będziesz tam mieszkać?

— Mieszkania się poszuka.

— No, ma się rozumieć... Tak, więc...

Stefan zamyslił się trochę, a Helenka spytała:

— A wiesz, do której klasy chcę wstąpić?

— No?

— Do piątej.

I tutaj Stefek nie okazał zdziwienia.

— A ja, gdybym wstępował, to wstąpiłbym do szóstej klasy.

Helenka spojrzała na Stefka, by przekonać się, czy mówi prawdę, czy żartuje.

— Do szóstej klasy trzeba wiele umieć,—zauważyła.

— No, zapewne, trzeba mieć przygotowanie. Trzeba, na przykład, znać całą arytmetykę—ułamki zwyczajne, dziesiętne, proporcje, regułę trzech, procenty,—jednym słowem wszystko; trzeba tak samo coś i o algebrze wiedzieć, i o innych naukach.

Helenka szeroko otworzyła swoje jasne oczęta i spoglądała na Stefka zdumiona, skąd on wie o tych naukach.

— A dlaczego ty, Stefku, nie uczysz się dalej?—spytała:—tyś przecie taki zdolny.

Stefek znacznie złagodniał. Łaskawie spojrział na Helenkę i powiedział znacząco:

— Może i ja będę się uczył, to jeszcze niewiadomo.

Chwileczkę pomilczał, a potem dodał:

— Może nawet i teraz się uczyć. Ot, jeśli chcesz, posłuchaj, jak ja piszę.

— Ciekawa jestem posłuchać,—rzekła zdziwiona i zbita z tropu Helenka.

Stefek wyciągnął z kieszeni kilka kartek, obejrzał się dookoła, czy niema niepotrzebnych świadków.

— Pójdziemy na gumno—tam będzie zaciszniej.

Siedli pod strzechą odryny.

— No, słuchaj: „Na noclegu“.

Przeczytał Stefek o pewnym zdarzeniu na noclegu, gdzie opisane było żywo i naturalnie, jak dziad Mikołaj szukał swej fajki i jak z powodu tej fajki o mały włos nie poczuł się z Leonem Sadowskim.

Cała wieś wiedziała o tej historii z fajką, ale opisane to było tak zabawnie, że Helenka, słuchając, szczerze się śmiała. I to było najlepszą pochwałą dla młodego literata.

— I to wszystko tyś sam napisał, Stefku?—z zachwytem spytała Helenka, kiedy Stefek skończył swe opowiadanie.

— No, co: dobrze napisane?

— Oj, doskonale! Zupełnie, jak w książce,—odpowiedziała Helenka i spoglądała na niego tak, że Stefek jasno widział, jak wysoko podniósł się jego autorytet w jej oczach.

— Grzech będzie, Stefku, doprawdy grzech, jeśli dalej uczyć się nie będziesz,—powiedziała Helenka.

Wtedy już Stefek nie mógł wytrzymać i przyznał się Helence, że się uczy, że ma szerokie plany, tylko nie o nich nie wspomina, a Helenka też nikomu o tym mówić nie powinna, bo on jej jednej tylko o tym powiedział.

O, on utoruje sobie drogę!

## VI

Kończyło się lato. Poruszyła się młodzież, jakby to ptactwo na wyraju. Rozpoczął się dla niej gorący czas, czas radości i nadziei dla jednych, czas gorzkich łez—dla innych.

Całe lato żyła Helenka myślą o nowej szkole, o dalszej swej nauce. Otwierały się przed nią szerokie widnokręgi nowego życia: kółka uczniowskie, praca w nich, wieczory, referaty. Pełno w niej było niejasnych dążeń, nieznanym jeszcze uczuć i radości za progiem rodzinnej okolicy.

W tych myślach, w tych pragnieniach przeszło lato. Zaledwie kilka dni dzieliło Helenkę od chwili wyjazdu do szkoły, do Zagórskiej siedmiolatki.

Cały ten czas Helenka była w jakimś nieznanym jej nastroju. Lękała się trochę egzaminów—kto wie co tam zdarzyć się może? Była jednak nadzieja, że wszystko skończy się dobrze. Pociągała ją szkoła. Ale było i smutno trochę na sercu z powodu rozłąki z domem, z rodziną. Była nawet taka chwila, kiedy Helenka szczerze przygarnęła do siebie czarną kotkę z białym napiersnikiem i cichutko szepnęła jej do ucha:

— Kociątko ty moje miłe. Zostaniesz beze mnie. Któż cię będzie pieścić?

Przygotowywała się Helenka do drogi. Zawczasu spakowała swoje książki i rzeczy i czekała dnia wyjazdu. Odwieźć do Zagórza miał ją sam ojciec jej, Andrzej Harnaszko.

I przyszła nareszcie ta chwila. Ojciec zaprzął konia. Helenka zebrała swoje pakunczki, książki i wszystkie potrzebne rzeczy. Zapłakała matka, uroniła łzę i Helenka.

Wyjechali na ulicę. Ukradkiem spojrzęła dziewczynka w stronę Stefkowej chaty. Stefek stał naprzeciwko. Oczekiwał na nią, widocznie. A Helenka nie spodziewała się go ujrzeć. Spostrzegła, uśmiechnęła się doń łaskawie i radośnie. Stefan markotny był.



Skinęła ku niemu Helenka na pożegnanie. Chciała powiedzieć coś, ale się widać ojca zawstydydziła.

— Szczęśliwej drogi, w dobry czas!—rzekł Stefan.

— Bądź zdrow, Stefku!

Wesoło zrobiło się Helence.

A Stefan długo odprowadzał ją wzrokiem. Spoglądał w tę stronę i wtedy, gdy wóz już oddawna znikł mu z oczu.

## VII

Najadła się Helenka strachu podczas egzaminów.

Ledwo-ledwo została przyjęta. No, ale to nie bieda: Helenka swoje zrobi.

Z większą jeszcze pilnością zabrał się Stefek do swoich lekcji. To nie żarty: Helenka za trzy lata skończy siedmiolatkę, a wtedy szeroka droga stanie przed nią otworem. Ona już, rzecz można, ustaliła swój los, a on co? Sytuacja jego całkiem jest niepewna. Liczyć na ojcową pomoc trudno: ojciec nawet słuchać nie chce o jego nauce. Po pierwsze, cóż to teraz za nauka? Uczniowie w szkołach bąki zbijają, chodzą i liście zbierają. Na lica się to zdało? Chleb na nich pieką, czy co? Powtóre, rozpusta wszędzie, dzieci nauczycielami kierują, a uczyć się nie chcą. Kromki chleba oderznąć nie potrafi, a świat cały chce przewrócić, kiełb zatracony. Czyż to tak dawniej uczono? Bywało, nie nauczysz się czasem lekcji, to nauczyciel tak ci da na rozgrzewkę, że aż się iskry posypią. Na kolana cię postawią i jeszcze polano do rąk dadzą—stój i trzymaj polano nad głową. To była nauka—bali się i uczyli się. A czego ich teraz uczą? Rodziców nie słuchać, starych zwyczajów nie szanować... Nie, bracie, za taką naukę dziękuję ci bardzo! Ucz się jak chcesz, ale ojciec pomagać ci nie będzie uczyć się, jak po ojcowym karku jeździć.

Stefan jednak swoje robi: czyta, pisze, myśli, rozważa.

Ani jeden wolny wieczór nie przepadnie na próżno. Trzeba jeszcze zaznaczyć, że zdarzył się wypadek, kiedy Stefan naocz-

nie mógł dowieść, jaki z niego uczony człowiek: sekretarzem wypadło mu być pewnego razu. I cóż myślicie? Taki protokół odwalił, że pewien odpowiedzialny pracownik z miasta, przeczytawszy ten protokół, długo przypatrywał się Stefanowi i rzekł:

— Zuch z ciebie! Na rabfak powinienes wstąpić.

Słowa te były powiedziane w obecności wszystkich.

Ludzie słyszeli, jak ich chłopca, chłopca z ich wsi pochwalił taki uczony człowiek, i ta pochwała spadała trochę jakby i na nich wszystkich. I ojciec Stefana był taki uradowany, jakby go kto po sercu masłem posmarował. Zainteresował się on bardzo rabfakiem, nie mógł jeno zrozumieć jakoś tego słowa, a wieczerem zapytał Stefana:

— Powiedz ty mi, co to jest ten „robak“?

Tu znów nadarzyła się Stefanowi sposobność do wykazania swej uczoności, i zdjął on z ojca wielki ciężar, chociaż, prawda, może i nie całkowicie.

— Nie „robak“: poplątało się ojcu—rabfak, to znaczy—fakultet robotniczy, gdzie uczą się dzieci robotników i włóścian.

— No, a cóż to takiego fakultet?

Tutaj jednak i Stefanowi noga się powinęła, a ojciec zauważył:

— Ot, powynajdywali wyrazy—rozum na nich skręcisz.— Tym nie mniej jednak był bardzo zadowolony, że takiego ma syna. A Stefan starał się całkowicie wykorzystać ten wypadek dla agitacji.

— Naturalnie, siedząc tutaj, wiele wiedzieć nie będziesz. A bez wiedzy jak sobie dać radę teraz? My sami teraz powinniśmy kierować swoim życiem. Przecie i tata pewnie nie zgodziłby się wołać pana, żeby on nam tu swoje porządki wprowadzał.

— A niechaj ich, synku, ślepotą ogarnie, zanimby tu nam swoje porządki znów wprowadzać mieli.

— Żeby umieć żyć po ludzku, trzeba się uczyć i nietylko wiedzieć, co oznacza rabfak, ale i uczyć się na rabfaku.

„Mądrze, szelma, gada“, pomyślał sobie Stefkowy ojciec.

## VIII

Zagórską siedmiolatkę uwolniono na dwa tygodnie wakacji zimowych. Helenka przyjechała do domu. Przebyła w szkole pięć miesięcy. Po tak długiej rozłące z domem czuła się szczęśliwą.

W ciągu swego pobytu w szkole Helenka zmieniła się znacznie. Wyrosła i wypiękniała jeszcze, chociaż i przedtym była z niej sliczna dziewczuszka. I kiedy wieczorem, pierwszego dnia po przyjeździe, zbiegły się do niej koleżanki, bo ciekawe były przyjrzeć się Helence, to jej kasztanowata główka o miłej twarzy i jasnych, myślących oczach bardzo korzystnie wydzielala się z pośród całej gromady głów jej towarzyszek. Twarz jej nabrała tego wyrazu uduchowienia, jakie zawsze nakłada nauka, praca i rozwaga myśli. W szkole Helenka nie traciła czasu na próżno. Pilnie słuchała wykładów, czytała książki, jakie tylko można było dostać, każdą niejasną kwestję starała się zrozumieć, a jeśli jej to przychodziło z trudnością, zwracała się do nauczyciela, chociaż na początku trochę się wstydziła. Ta pilność, to szczere oddanie się nauce, jak również i zdolności i tutaj wysunęły ją na pierwsze miejsce w klasie. Ona to kierowała szkolnym kółkiem przyrodoznawstwa; ona również, nie chcąc dać się wyprzedzić Stefkowi w dziedzinie literatury pięknej, pisywała do gazety ściennej i w szkolnych pisemkach brała udział. Pierwszeństwo jednak oddawała nie prozie, ale wierszom, bo wiersze bardziej jej się podobały i uważała je wogóle za bardziej wysoką formę literatury. Śmiało można powiedzieć, że na tę drogę skierował ją Taras Szewczenko, a białoruscy poeci, z których utworami zapoznała się w szkole, jeszcze mocniej rozwinęli w niej zamiłowanie do poetyckiej twórczości.

Podczas pobytu swego w szkole Helenka umieściła dwa swoje wiersze w gazecie i jeden wierszyk w piśmie szkolnym. Ma ona jeszcze jeden wiersz. Ale ukrywa go, jakby jaką świętość, nie bacząc na autorską chęć podzielenia się z czytelnikami swym utworem. Z wierszem tym nie rozstaje się nigdy młoda poetka. Jest on starannie przepisany na arkusiku i ozdobiony rysunkami.

Umie go Helenka na pamięć. Na świecie jest tylko jeden człowiek, dla którego ten wiersz jest przeznaczony. Ale czy mu go przeczytać? Oto pytanie! Helenka przeżywała mękę niepewności.

Drodzy poeci! pozwólcie wyrazić wam współczucie w imieniu czytelników i zaświadczyć przed całym światem, że jesteście wielkimi męczennikami na ziemi.

Któż to jednak jest tym, dla kogo wiersz ten został napisany?

Odgadnąć nie tak znów trudno: człowiekiem tym jest Stefan.

Helenka jest bardzo ciekawa: czy wstąpi on do nich, czy nie. Ucieszyłaby się napewno, gdyby wiedziała, co on o tym myśli. Stefek miał bardzo wiele powodów zobaczenia się z Helenką: trzeba się było dowiedzieć, czy wiele nauczyła się Helenka za ten czas, jak tam wogóle przedstawia się sprawa nauki i, jeśli już na to poszło, poprostu chciało mu się popatrzeć na Helenkę, bo przecież w ich wsi tylko on i Helenka byli uczonemi ludźmi. Nauczyciel tu w rachubę nie wchodził.

W tym samym czasie, kiedy matka spoglądała na swą uczoną córkę i cieszyła się nią, że się tak wyróżnia z gwarnej gromady dziewcząt, Stefek rozmyślał, jakby najłatwiej i najprościej zobaczyć się z Helenką. Najlepiej byłoby, oczywiście, zobaczyć się sam na sam. Ale można i wprost wstąpić do nich. Żeby tylko tych piszczących terkotek tam nie było.

## IX

Okazało się, że wstąpić do Andrzejów, to nie taka prosta sprawa, jak to wczoraj przypuszczał Stefan.

Pierwszy jego błąd polegał na tym, że od czasu, jak Helenka wyjechała do Zagórza, ani razu nie zaszedł do ich chaty. Trzeba ich było po sąsiedzku jakoś odwiedzić. Drugi, nie mniej ważny błąd—Stefan ani razu nie powiedział „dzień dobry“ ciotce Hannie, matce Helenki, chociaż na ulicy spotykał ją nieraz. Ale znowuż mówienie jej „dzień dobry“ także mogłoby nasunąć pewne podejrzenia. I teraz było jakoś niezręcznie tam zajrzeć, bo od razu rzuci się wszystkim w oczy, że poszedł do Andrzejów. Jak to on mógł nie pomyśleć o tym wcześniej?

Zamyślił się Stefek.

Nie doszedszy do żadnych wniosków, wyszedł na ulicę i równym krokiem, jak człowiek dorosły, zwrócił się ku chacie Andrzejów.

Było chłodno.

Zazdrosny mróz pokrył lodem i szorstkim szronem szyby na oknach, a osobiwie na oknach tych chat, gdzie mieszkały dziewczęta. Ale dziewczęta umieją oszukiwać starego zazdrośnika, gorącym oddechem przebijają mroźne zasłony i kogo im trzeba zobaczyć—zobaczą.

Skoro tylko Stefan zrównał się z pewną chatą we wsi i spojrzął na jej zamazane szyby, to spostrzegł od razu to wychuchane okieneczko w oknie. Mało tego: posłyszał stukanie w szybę.

Stefan zatrzymał się.

Chwila—i u furtki ukazała się Helenka... Serce zabiło mocniej w piersiach Stefka.

— Czy ty nie do nas przypadkiem?—zapytała Helenka.

Poco się tak zapytała?

Stefek nie wie, co odpowiedzieć.

Ale jakże jej nie powiedzieć prawdy, kiedy mu ona tak bardzo dopomogła do rozwiązania nadzwyczaj trudnego zadania.

Uśmiechnął się więc i powiedział:

— Ano tak, do was.

A może lepiej było powiedzieć: «Do ciebie»?

Bodaj lepiej jednak tak, jak powiedział.

— Jak się masz, Stefku?

Helenka podała mu rękę. Stefan nie stosował, coprawda, tego sposobu witania się, uważając go za zbyt delikatny. Niezręcznie więc wyciągnął rękę, a ona tak mocno, po przyjacielsku uściśniła i potrząsnęła nią.

Weszli do chaty.

W chacie była tylko ciotka Hanna i Stefan, jak tylko po trafił najgrzeczniej, powiedział jej „dzień dobry“.

— Posiedźże u nas, Stefku,—rzekła ciotka Hanna, a Helenka wygodniej ustawiła mu zydel do stołu, i sama usiadła koło stołu naprzeciw.

— Pokaż, Helenko, swoje rysunki Stefanowi.

— Et, jakie tam rysunki: Stefek śmiać się będzie,—jakby się trochę zawstydzila Helenka.

— Pokaż, pokaż,—poprosił i Stefan.

Helenka wydstała zeszyt ze swojemi rysunkami. Stefan przeglądał je uważnie, a i ciotka Hanna podeszła, aby je obejrzeć raz jeszcze, bo się jej one bardzo podobały, a najważniejsze tu przecie to było, że rysowała je Helenka.

— Dobre rysunki,—pochwalił Stefek;—czyś to ty sama rysowała?

— Sama.

Stefan zdziwił się.

— Jabym takich napewno nie narysował.

— Co też ty mówisz? Jeszcze lepiej narysowałbyś, żebyś się pouczył.

— Chyba, gdybym się pouczył.

Mówiąc prawdę, Stefan tego rysowania nie uważał za naukę i nie widział w tym nic poważnego. Dlatego też zapytał:

— A co przechodzicie na lekcjach?

— A my ciągle kompleksy opracowujemy,—z dumą odpowiedziała Helenka.

Biednemu Stefanowi aż się gorąco zrobiło od tych kompleksów: co to za nowa nauka? Nigdy o niej nie słyszał i w książkach nigdzie o tym nie czytał. Do licha z niemi! Niezręcznie mu jakoś wobec Helenki: ona kompleksy przechodzi, a on o tych kompleksach ani be, ani me. I cóż one, przeklęte, oznaczają? A może to kilka skróconych i połączonych słów, coś w rodzaju „rabfaka“?

Majaczą w głowie Stefka różne rozwiązania tej zagadki: komunistyczny las, kompartyjne leki... nie, nic z tego. Stara się jednak nie pokazać, że nie rozumie kompleksów. Może się z dalszej rozmowy wyjaśni. Stefek ucieka się do podstępów.

— A cóż wy z tych... jak je tam... „kompeksów“ przechodzicie?

• Helenka spojrzała na Stefka.

— Jak ty śmiesznie powiedziałeś: „kompeksy“,—i, jak głupia, zaczęła chichotać.

Stefan poczerwieniał. Złość go porwała.

— Cholera je wie, co to takiego. Nigdy nie słyszałem takiego szpetnego słowa.

I Stefan musiał uznać swą porażkę. Ale on to sobie odbije w przyszłości, bo w sercu mu nakipiąło. I zapytał:

— A cóż to za przedmiot?

Dodać „kompleksy“ już się nie odważył.

— A to, widzisz, tak. Bierze się jakiś przedmiot, lub zjawisko, powiedzmy „studnię“ lub „Rewolucję Październikową“ i zaznajamia się z tym wszechstronnie.

— No, a jak że to wy wszechstronnie zaznajamiacie się ze studnią? Wykopujecie ją, jak ten cygan, w ziemi, czy jak?

Stefek stanął na gruncie krytycznym, by chociaż w ten sposób dopiec „kompleksom“.

— Nie, my tak robimy: robimy rozbiór studni...

— Jak, zrąb rozbieracie?  
— Pozwólże powiedzieć. Zastanawiamy się, na co ludziom potrzebna jest studnia...

— Ale to przecie każdy dureń wie,—zauważył Stefan.

Teraz i Helenkę trochę wzięło.

— A jak woda trafia do gruntu?

— Bardzo prosto. Woda znajduje się w stanie wiecznego ruchu. Od słońca paruje, z pary powstają chmury, z chmur pada deszcz. Woda deszczowa pozostaje na powierzchni, a część jej przenika w głąb ziemi. W ziemi są takie warstwy, na których woda się zatrzymuje, nie idzie dalej... Ale ja to wiem z geografji. A te wasze, jak je tam... kompasy, czego uczą?

— A my w kompleksach rozpatrujemy wszystko razem: i geografję, i historję, i wszystko.

W tej chwili Stefkowi przyszła do głowy nowa myśl; uśmiechnął się.

— Ano, to znaczy tak: postawili ci na stół kapustę, jajecnicę, zsiadłe mleko, kiełbasę. Pozlewaj to wszystko do jednej miski,—i jedz. Głupie są te wasze... kompleksy.

Widzi Helenka, że ze Stefanem mówić trudno, że się po prostu rozgniewał na te kompleksy, bo ich nie zna. I pocóż się z nim sprzeczać? Helenka gotowa nie mówić już o tym.

Ciotka Hanna, krzątając się koło pieca, chociaż mało co rozumiała z ich rozmowy, ale widziała, że Stefan chyba pod względem nauki musiał pozostać w tyle. Ale zaczął on w taki sposób mówić o tym wiecznym ruchu wody, że jakby znowu brał przewagę nad jej Helenką. A jak powiedział jeszcze o tych potrawach, to i dla niej było jasne, że gdyby je tak pomieszać, jak mówił Stefan, to wyszłoby niewiadomo co. To wreszcie naprowadziło ją na myśl, że w żołądku te potrawy i tak się pomieszają, a gdyby je zmieszać na jednej misce, to jeść niktby nie zechciał. Dlaczego to tak?

— Teraz już one dla mnie jasne,—rzekł Stefan.



— Nie, i napróżno na nie napadasz. Gdybyś opracował jeden, drugi kompleks, to zobaczyłbyś, że nie są już one takie marne.

— Głupstwo,—machnął ręką Stefan.

Ciotka Hanna wyszła z chaty.

— My swoje gazety mamy,—powiedziała Helenka.

— Gazety?

— I pisma.

— A co wy tam piszecie?

— Wszystko: opowiadania, wiersze, korespondencje różne, czasami skrytykujemy kogoś.

— A kto je czyta?

— Wszyscy czytają. Wywiesimy gazetę na ścianie—i czytają. Nieraz myślałam, że gdybyś ty tam był, ot napisałbyś— a wszyscy czytaliby i śmieliby się.

Stefka to najwyraźniej poruszyło.

Helenka trochę zmieszana się.

— A ja też piszę do gazet i pism.

— No, bez ciebieby się tam obeszło,—zauważył Stefan.

Jak rozumieć jego słowa?

Trochę pomilczeli.

— A cożeś ty pisała?

Helenka chwilę zawahała się.

— Wiersze.

Wtedy Stefan oczy wytrzeszczył. Poczuł nową konkurencję.

— Może je przeczytasz?

Helenkę brała wielka pokusa przeczytać „tamten“ wiersz, ale odwagi jej brakowało.

— Nie mam ich ze sobą.

— Szkoda. A może je na pamięć umiesz?

— Poczekaj, pomyślę trochę.

Helenka zaczęła myśleć.

— No, słuchaj.

Opuściła główkę i zaczęła deklamować z pamięci.

Jak kocham ciebie,  
Niech powie to słońce,  
Co rankiem wzeszło na niebie  
I, całując przyrodę całą promieniami,  
Duszę moją ogrzało.  
Jak kocham ciebie,  
Niech powie ten wiatr,  
Co pieszczotliwie kołysze bławatki,  
Niech powiedzą ptaszki, co mi śpiewają  
Pieśni kraju ojczystego.  
Jak kocham ciebie,  
Niech powie to zboże,  
Co wyrosło na ojczystej niwie  
I ciężkie kłosa schylając,  
Cichutko gwarzy nocami.  
Jak kocham ciebie,  
Niechaj powie ta rzeczka,  
Co falami w dal bieży...  
Niech pieśnią słowik powie,  
Kto tak ciebie ceni.

I poetka i jej słuchacz czuli się podczas deklamacji jakoś „niezręcznie“. Deklamując, Helenka myślała, że Stefan zapyta ją, kogo miała na myśli w tym wierszu. A Stefan, słuchając, poczuł zazdrość do samej poetki, która, jego zdaniem, napisała bardzo piękny wiersz, a większą jeszcze zazdrość poczuł do tego, dla kogo wiersz ten został przeznaczony.

Helenka nieśmiało spojrzała na Stefka. Stefan siedział, pochyliwszy głowę.

— Jeśliś to ty napisała, to bardzo dobrze. Bardzo dobrze,— powtórzył.

Hej! cudneż bo są te noce letnie!

Zda się, po to tylko sphywają one na ziemię, aby dowieść, że w ciemnej ciszy jest i poezja, i piękno. A może są one zresztą bałamutkami jedynie: przyjdą, haszysz swych czarów rozleją, odurzą cię, otumanią, zawrócą w głowie, przyobiecają niewiedzieć co, przyniosą z sobą tysiące pokus wszelakich, licho wie do jakich czynów pobudzą...

Hej, noce! letnie noce upojne!

Stefek wyszedł na ulicę. Ciemne, niskie chaty pod słomianymi strzechami jeszcze niżej przytuliły się do ziemi. Gdzieś, w drugim końcu wsi, młody głos dziewczęcy, jak dźwięczny srebrny dzwoneczek wrzynał się w ciepłą ciszę letniej nocy:

Nastawię samowar

Kominki złożone—

Nasi chłopcy mają

Usta na złą stronę...

Śpiewka nagle urwała się. Wybuch zgodnego, młodego śmiechu. Dziewczęcy pisk, krzyki. To chłopcy, widocznie, urządzili napad na dziewczęta, bo z tamtego końca wsi doleciały ich niskie głosy, przeplatające się z dźwięcznymi głosami dziewcząt, i zlały się razem w zawieruchę wybujałego rozgwaru życia.

Stefan w niejasnym porywie nierozwiniętych jeszcze młodych skrzydeł odczuwał tej nocy gwałtowną potrzebę jakiegokolwiek czynu. Pociągał go wir wiejskiego gwaru. Było mu jakoś smętnie na sercu. Chciało mu się dokądś pójść, coś zrobić, jednym słowem, pokazać, że jest na świecie taki Stefek, żeby ten świat zwrócił na niego uwagę. Ale nie jego to miejsce w tym wirze: jego, wyrostka, spotkanoby tam żartami i szyderstwem. Czyż to zresztą jego droga? Pozostało mu tylko kilka dni do wstąpienia na rabfak. A jeszcze nie wszystkie

dokumenty zebrał. Potrzebna mu rekomendacja jaczejki komsomolskiej: bez tej rekomendacji bardzo łatwo można przegapić całą naukową karierę. A wiadomo, co mu jeszcze powie jaczejka. Przecież sekretarz jaczejki, Makary Łagun, już nieraz zagabywał Stefana, czemu nie należy do jaczejki, dlaczego nie przychodzi na jej zebrania i dlaczego nie wykazał się niczym jako niewierzący. Stefan nie ma przeciw komsomolowi, zapisałby się nawet do niego, gdyby nie trzeba się było przygotowywać do rabfaku. I to nawet jeszcze pół biedy: czas możnaby znaleźć, ale ojciec powiedział mu kiedyś:

— Jeśli ty, gałganie, wystąpisz przeciw bogu, to skórę z ciebie zedrę. A wstąpisz do komsomolu, to w domu się nie pokazuj.

Nie chciało się Stefkowi z ojcem zadzierać.

Po pierwsze, kłótnia sama przez się jest niemiła; a prócz tego, jeśli pokłócisz się z ojcem—to nie licz na ojcowską pomoc. A Stefek tak bardzo chciał się uczyć.

W czasie tych głębokich rozważań Stefkowych ulicą przemknęły dwie ciemne postacie. Stefan poznał je odrazu: byli to—Makary Łagun, sekretarz jaczejki, i Mykita Dudzik, również komsomolec.

— Hej!—zawołał na nich Stefan.

Chłopcy zatrzymali się.

— Dokąd idziecie?

— Na nasze zebranie,—odrzekł Makary.

— A czy ja mogę iść z wami?

Chłopcy jakby się trochę zawahali. Zwołują naradę, jak poprowadzić walkę „z religijnym otumanieniem.“ W Zaborcach jutro akurat przypada odpust. Na „Spasa“ przyjeżdża tu co roku wiele ludzi z sąsiednich wsi i chutorów. Więc czy dobrze na takie poważne i nadzwyczajne zebranie jaczejki dopuszczać osoby postronne?

Ale, zresztą, dlaczego Stefan nie miałby tam być? Niechaj się wciąga, a korzyść z niego będzie: przecie wśród nich Stefek jest najbardziej wykształconym chłopakiem.

— Myślę, że możesz,—powiedział Makary.

— Można,—zgodził się i Mykita.

I wszyscy trzej ruszyli ciemną zaborcowską ulicą.

## XI

Zebrańie odbywało się w chacie sekretarza jaczejki, Konrada Hugi. Huga był w swym domu prawie od nikogo nie zależnym gospodarzem. Matka jego, biedna wdowa, nie wtrącała się do spraw synowskich. Posiadali trochę ziemi, ale sami na roli nie pracowali—ani rusz nie mogli się dorobić na konia i ziemię trzeba było oddawać na połowę.

Na zebraniu omawiano sprawę, w jaki sposób przeprowadzić nazajutrz propagandę antyreligijną. Wiele sprzeczek i rozważań wywołała ta sprawa. Wiele było najrozmaitszych propozycji.

Stefan słuchał w milczeniu.

— Pozwólcie mi powiedzieć,—poprosił wreszcie o głos.

Gwarne komsomolskie zebranie zacichęło odrazu. Wszystkie głowy zwróciły się ku Stefanowi.

— Najlepsze, co można przygotować na jutro,—to pójść do „świętego źródła“, obalić krzyż i zerwać z niego „figurkę“. Przyjdą się popy modlić, a tam nic nie będzie.

Stefka rozśmieszyło zadziwienie popów, gdy zobaczą, że tam nic nie ma.

Komsomolcy—a było ich ośmiu—zgodnym śmiechem i oklaskami powitali projekt Stefana.

Wniosek był przyjęty jednogłośnie, i wszyscy chłopcy razem ze Stefanem poszli ku „świętemu źródłu“.

Cicho szli chłopcy pustą ulicą Zaborców. Dziewczęce pieśni zmilkły już oddawna i wioska cała spała krzepkim, włościańskim snem.

Wyszli w pole: „święte źródło“ leżało w odległości półtororej wiorsty od wsi. Położone było w nadzwyczaj pięknym miejscu pod niewysokim wzgórzem. Wzgórze to dość stromo spuszczało się ku głębokiej łączce-dolinie, na drugiej stronie której rosły dęby-olbrzymy. Ze wzgórza wypływało, czyste jak kryształ, źródło. Przepląnąwszy kilkadziesiąt sążni brzegiem doliny, strumyk znowu krył się pod ziemię. I tylko bujna soczysta trawa szerokim zielonym pasem rozrastała się w tym miejscu.

Nieco wyżej, w tym miejscu, gdzie strumyk, dopłynąwszy do doliny, skręcał na prawo, krzyżowały się dwie drogi: na Zagórze i do Trościanki. Przy tym skrzyżowaniu dróg było właśnie „święte źródło“.

W ostatnich latach studzienka nieco się pochyliła. Drewniany zrab jej zczerniał i wygnił od dołu. Wysoki krzyż z figurą pochylił się na bok.

Poczerniał, wygiął się daszek na czterech słupach ponad krzyżem. Koło „świętego źródła“ czuć było ślady zgrzybatej starożytności, a duch głębokiej staroświeczyzny uosił się nad zbutwiałą „figurką“.

Młodzi bezbożnicy zatrzymali się koło „figurki“. Milcząca czarna noc otulała ziemię mrokiem. Było cicho. Gdzieś w łąkach ponad rzeczka jakiś bezsenny czy zbudzony ptak zakwilił dwa razy: „ki-i-i-wik, ki-i-i-wik“ i zamilkł.

— No, chłopcy,—powiedział Mykita Dudzik:—dalej, przyprawimy popa o suchoty.

Mykita pierwszy pomocował się ze zrębem „świętego źródła“.

— Poddaje się, chłopcy,—zawołał radośnie.

— Ano, weźmiemy się komunalnie,—skomenderował Makary

Szarpnęli spółem. Drgnął nadgniły zrab, a za drugim razem oderwał się całkiem i, ku wielkiej uciesze bezbożników, przewrócił się do góry nogami.

— Wynieśćby go gdziekolwiek,—powiedział Huga.

— Zaniemiemy go w krzaki. Ano, bierzcie się!

Roman Owsiejczyk, Tymek Hułak, Stefan i Mykita podjęli zrab i ponieśli. Odszedzszy jakich dziesięć kroków, zaśpiewali pieśń:

A mójże ty, Mikołaju,  
W jakim ciebie grzebać gaju,  
Schowamy cię pod wierzbina,  
Łzy po tobie nam popłyną.

Przewodniczący z sekretarzem i jeszcze trzech chłopców zakrzętnęli się tymczasem koło krzyża. Krzyż chwiał się, ale stał jednak mocno. Wspólnymi siłami rozbujali go, podnieśli i poruszyli z miejsca. Krzyż mocno się pochylił, przygiął się ku ziemi. Powrócili pozostali chłopcy i hurmem powalili go na ziemię.

Noc bardziej jeszcze pociemniała. Od zachodu zbliżała się olbrzymia chmura. Ukazały się błyskawice, jakby ognisty wichur, co gdzieś nad brzegiem ziemi powiewa, eicho kołyszac zacięty mrok nocy. Z pobliskiej gromady chmur oderwał się kędzierzawy, ciemno-ślony kłęb, groźny i straszny. Z jego kudłatej głowy wyskoczyła jaskrawa, czerwono-krwawa błyskawica. Na jedno mgnienie wynurzyło się z ciemnego mroku— „święte źródło“ jak czarna dziura w ziemi, grupa zajętych przy pracy chłopaków i krzyż, obalony na ziemię. Stefanowi rzuciła się w oczy drewniana figura, wyrznięta rękoma nieznanego rzeźbiarza. Jedna ręka figurki była odłamana. Tę figurkę, widać, spostrzegł Mykita Dudzik. Namacał ją rękoma.

— Dosyć ci pomagać popom tumanieć tu ludzi,—powiedział Mykita, i zaczął odrywać figurę od krzyża.

Krzyż zawlekli w inną stronę doliny i porzucili go między grubymi dębami.

Po upływie pół godziny lunął deszcz.

Bezbożnicy skończyli swą pracę i poszli do domu. Dokoła „świętego źródła“ było teraz puste miejsce.

## XII

Rozczesawszy brodę i przyodziawszy się starannie, jak wypada w taki uroczysty dzień, pop zaborcowski skierował się ku cmentarzowi, aby rozpocząć ranną mszę. Żle się powodziło teraz ojcu Tytusowi. Naród odsunął się od cerkwi, dochody były małe i żadnych widoków na przyszłość. Siedź cicho, jak gdyby cię na świecie nie było. Może dzisiaj koło „świętego źródelka“ nadłata się trochę. Lato było dobre, pogoda sprzyjała urodzajom i pracy. Naród nieco zżamoźniał. Owoce i różne warzywa dojrzały.

W nocy przeszedł deszcz niezgorszy. Niebo jasne, pogoda sliczna,—wszystko to nadawało myślom o. Tytusa przyjemny kierunek. I wchodząc na cmentarz, zanucił pocichutku 103-ci psalm:

„Śław, duszo moja, pa-a-a-na“...

Podniósszy głowę, o. Tytus nagle przerwał swe pobożne pieśnią: na cmentarzu, koło wrót cerkiewnych stał dozorca Józef Dzigun. Oczekiwał tu widać na „batuszkę“, aby powiedzieć mu coś bardzo ważnego. Wyraz twarzy miał zakłopotany.

— A czy wiecie, ojcze, co się stało?

W tonie tego pytania tało się przerażenie. O. Tytus stanął, jak wryty.

— A cóż takiego, Józefie?

— Zburzyli, ojcze, „święte źródelko“ i „figurkę“.

Od niespodzianej wiadomości o. Tytus aż się cofnął.

— Nie może być, — krzyknął zduszonym głosem, a na twarzy jego odbiło się przerażenie.

— Wszystko połamali i poroznosili, bodaj ich samych choroła połamała i na mogiłki zanosła! Popatrzcie, ojcze, co zrobili, gałgany.

Józef Dzigun wyciągnął z za pazuchy kawałek posiwiąłego drzewa z ręki figury.

O. Tytus wziął ten kawałek drzewa, popatrzył nań i, trzęsąc głową, przemówił:



— Panie miłosierny! dokąd wystarczy twojej cierpliwości...  
Dranie, dranie. Psie, psie syny... „Zhańbione ołtarze twoje,  
panie“... Łajdaki, łajdaki. Pękła procesja...

Piotr Krawiec, dzwonnik, siedział na dzwonnicy, trzymając w ręku sznur i zrzadka uderzał w dzwony, przysłuchując się rozmowie kościelnej z ojcem Tytusem. Wypadek ze „świętym źródłem“ był mu już znany.

Ojciec Tytus podniósł wzrok na dzwonnice i gniewnie podał znak ręką Piotrowi-dzwonnikowi.

— Przestań dzwonić!—zawołał z oburzeniem o. Tytus, a cicho dodał:—I djabła tysego się teraz nie dodzwonisz.

Piotr wypuścił z rąk sznur i zlął z dzwonnicy.

— Nabożeństwo trzeba rozpocząć, ojcze,—nieśmiało rzekł kościelny.

O. Tytus nie mógł się uspokoić i machnął ręką:

— Zbeszczęścili nabożeństwo, spaskudzili, szelmy!

Dołączyło się do nich kilku mężczyzn. Gromadka kobiet stała na uboczu. Stare babule boleśnie kiwały głowami i wzdychały ciężko.

— Jezu, Jezusieczku, jaka rozpusta poszła.

I pod cerkwią, i na wsi szły gawędy o świętokradztwie, a jednocześnie przeprowadzano domorosłe śledztwo. Wszystkich winowajców wykryto. Nawet biednego Stefana wysłodziło czyjeś bystre oko.

— Odszczepieńcy, odszczepieńcy,—trząśł głową dziad Marcin:—nie chcesz się do boga modlić, módl się do tysego djabła, ale pocio bezczęścić święte miejsce?

— Rozpuścili się, gałgany, jak dziadowskie bicze. Wytapaćby, rozbójników, i głowy poskręcać do jasnej cholery, wtedy wystrzeżaliby się,—mówił niski Piotr-dzwonnik.

Skoro się ujawnił nastrój opozycyjny przeciw bezbożnikom, o. Tytus odwołał swój zakaz dzwonienia i Piotr Krawiec włączył znowu na dzwonnice. O. Tytus poszedł odprawiać nabożeństwo.

Podczas modłów doniesiono mu, że postawiono nowy krzyż, więc procesja powinna się odbyć.

Zakończywszy nabożeństwo i obliczywszy dochody, o. Tytus zajaśniał jak to słońce. Z chrześcijańską pokorą gotów był teraz pomodlić się za bezbożników. Tym nie mniej jednak, spotkawszy Michała Borutę, Stefkowego ojca, powiedział mu:

— Ślicznego masz synka, Michale.

### XIII

Powrócił Stefan z wyprawy przed świtem, cichutko otworzył odrynę, gdzie spali dwaj młodszy jego bracia, Oleś i Jurek, i, nie rozbierając się, przemokły do nitki, wpełził pod kołdrę. Leżąc, rozważał o wypadkach tej nocy i o możliwych skutkach tych wypadków. Stefan czuł, że przekroczył jakąś nadzwyczaj ważną granicę. Te myśli, które mu przychodziły teraz, jeszcze przed kilkoma godzinami były mu całkiem nieznanymi, i sam on wtedy był innym człowiekiem. A naogół czuł się jakoś nieswojo. Prawda, Stefan starał się przekonać sam siebie, że nic złego w jego postępkach nie było. Żadnego boga niema, tak teraz wszędzie w szkołach uczą, mówią o tym na odczytach, krzyczą na wiecach. Bóg, raj, zaświaty—wszystko to wymyśli, aby ludzi trzymać w strachu i posłuszeństwie.

Stefan zagrzał się pod kołdrą i zasnął mocnym snem. Spał wtedy, kiedy po wsi rozniosła się niezwykła nowina. Ojciec jego wczesnym rankiem jeszcze pojechał do gminy w jakiejś gospodarskiej sprawie.

Coś ze dwa razy już budzili Stefka jego bracia. Dopiero, kiedy matka dowiedziała się, że i jej Stefan ma coś wspólnego ze „świętym źródłem“, przyszła sama do odryny i wzięła się do budzenia w odpowiedni sposób.

— Gdzieś ty był w nocy, ty bydlaku?

Sen Stefana odleciał w moment. Z tonu zapytania poczuł, że nadciąga ku niemu jakaś nawałnica. Podrapawszy się w czu-

prynę, Stefan udał, że nie nie pojmuje, a sam obmyśla, co odpowiedzieć matce, jaką naogół wybrać linię postępowania, i dziwi się, że tak prędko wykryły się ich bezbożne czyny.

— Gdzieś ty był i coś robił nocą, pytam się?

— Nigdzie nie byłem!—szorstko odpowiada Stefan, siadając na posłaniu.

— Prawdę mów, włóczykiju!—nacierają matka.

— Coś się tak rozkrzyczała, jak kwoka?! Gdzie byłem—chodziłem z chłopakami.

— I nie rozebrał się nawet, wałkoń obrzydliwy!.. Gadaj, byłeś koło „świętego źródła“?

— A bo to raz tam byłem,—spokojnie odpowiada Stefan.

— A ty mi piasku w oczy nie syp, łobuzie!

Matka traci całkiem cierpliwość.

— Przyznaj się, bydlaku, coś robił koło „świętego źródła“?

Wziąwszy pewien ton, Stefan stara się go utrzymać. I teraz odpowiada już tak:

— Co robiłem? Komplekty i suchoty dla popa.

Matka aż poczerwieniała ze złości: jawnie kpi sobie z matki, huncwot.

Z oburzeniem rzuca się na syna i szturcha go w bok.

Stefana tak samo opanowuje złość, ale hamuje się i, aby więcej dokuczyć matce, śmieje się i mówi:

— Tu mnie akurat swędziło, a tyś mnie podrapała.

— Herodzie ty, bezbożniku, kacie. I tyś katował Jezusa, rączuchnę mu odłamałeś, a teraz mnie katujesz... Nie na dobre ci to wyjdzie...—ostre słowa rzucała mu matka.

Stefanowi przykro było tego słuchać, ale ton swój wytrzymuje do końca, i, kiedy matka, zagrożwszy mu strasznymi karami na tym i tamtym świecie, płacząc wychodziła z odryny, powiedział jej:

— Zapłakała, pomyślałbyś, że podatki za ciebie twój Jezus zapłaci!

Stefan pozostał w odrynie sam. Do łez doprowadził matkę. Eh, teraz mu już wszystko jedno.

Podniósł się, wyszedł z odryny, postać trochę przed gumnein, a potem przelazł przez płot i ruszył w pole.

#### XIV

Jedno dla Stefana było jasne: znalazł się teraz poza progiem ojcowej chaty. Co się stało, nie odstanie. Ale trzeba było coś wymyśleć, znaleźć wyjście z tego położenia.

Odszedł ze dwie wiorsty od wsi, siadł na kamieniu pod zagajnikiem i zaczął rozważać. Zająć do domu, czy też lepiej ojcu wcale na oczy się nie pokazywać, bo wszystko jedno ojciec przegoni? I myślał jeszcze Stefan o mieście. Miasto daleko—o sto, a może i o sto wiorst z ogonem. Kolejną nie pojedziesz: skąd pieniędzy wziąć? Jedno pozostaje: piechotą po szynach. Choć to może i dalej, ale torem nie zblądzisz. Na drogę trzeba przeznaczyć trzy dni czasu. Pozostają dwa wolne dni. Dokumenty, co prawda, już gotowe. Ot, tylko z jacejki wziąć zaświadczenie. Dadzą mu je teraz napewno z ochotą. Ale czy je brać? Po tym wszystkim, co się zdarzyło, to zaświadczenie nie nęci go. Nabiera ono charakteru jakiegoś wyrzutu. I przypomniał sobie matkę. Za cóż ją skrzywdził? A w mieście, gdzie się on podzieje? Miasta nigdy jeszcze nie widział. W wyobraźni miasto przedstawia mu się jak jakaś nieforemna masa, gdzie łatwo zaginać.

Stefan skierował oczy w stronę wsi i zaczął się wpatrywać: po rżyskach szybko zbliżały się ku niemu dwie postacie wiejskich chłopców. Byli to jego młodsi bracia, Oleś i Jurek. Oleś biegł bez czapki, czapkę trzymał w ręku. Widocznie, niósł on coś w czapce. Kiedy bracia dobiegli do Stefana, zadyszani byli mocno od szybkiego biegu, ale twarze mieli wesołe. Radzi byli, że znaleźli Stefana. W czapce okazały się dwie gryczane mięciutki oładki, złożone na pół, a pomiędzy nimi spory kawał smażonej słoniny.

Stefan poweselał, ujrawszy braci. Może być dlatego, że był taki samotny.

— Czyście wy sami to wzięli?

— Nie,—odpowiedzieli bracia.

— Matka dała?

— Nie.

— Więc skądżeście je wzięli?

— Helenka Andrzejów przystała,—razem powiedzieli chłopcy.

Dla Stefana było to całkiem nieoczekiwane, i przejęła go nadzwyczajna wdzięczność dla Helenki. Zrodziła się w nim mocna chęć ujrzenia Heli i podziękowania jej za to. Helence pozostał jeszcze rok nauki w siedmiolatce, i wkrótce już stąd wyjedzie. Jeśli dziś—jutro nie zobaczy jej, to kiedy ją spotka i czy spotka?

Stefkowi chiałoby się wypytać o Helę, ale mu jakoś wstyd. Ale pomimo to zapytał:

— A gdzieście ją widzieli?

— Ona spotkała mnie na ulicy,—powiedział Oleś,—i spytała, gdzieś ty i co się z tobą stało.. Komsomolcy, bracie, pociągali—bić ich chcieli.

— A ojciec przyjechał?

— Przyjechał.

— A on wie... o «świętym źródle»?

— Matka powiedziała, i wszyscy mówili.

— A on co?

— Nic. Zły.

Stefan ułamał kawałek oładki i zaczął jeść.

— A może wy zjedlibyście po kawałku?

— Nie,—odrzekli razem młodsi bracia i głowami potrząsnęli.

Stefan przegryzł, wypytał o wiejskie nowiny.

— A ty, Stefku, do domu przyjdiesz?—zapytał Jurek.

Oleś i Jurek utkwili oczy w Stefka i czekali, co powie.  
— Dzisiaj w domu nocować nie będę. Jutro przyjdę—nie nadługo, ale przyjdę. Tak i powiedzcie w domu rodzicom.  
— A gdzież ty nocować będziesz?  
— Głupstwo! zajdę gdziekolwiek do szopy i przenocuję na sianie.

Oleś i Jurek uspokoili się.

Wszyscy trzej bracia umilkli. Każdy z nich miał jakieś własne myśli.

— No, my pójdziemy do domu,—przerwał wreszcie to milczenie Jurek.

— Idźcie, idźcie,—odezwał się Stefan,—bo już wieczór. Ot tylko, braciuszki, gdy spotkacie Makara Łagunowych, to niech mi paperek napisze—on już wie, jaki... Nie, lepiej nie trzeba obejdzie się.

— Stefan chwilę zawahał się.

— Zobaczycie Helenkę, podziękujcie jej ode mnie za oładki. I, pomileczawszy chwilę, powiedział jeszcze, nie patrząc braciom w oczy:

— Ja będę jutro na Remusowym zakręcie,—rankiem, kiedy rosa opadnie. Powiedzcie Heli, niech tam przyjdzie... no, książkę niech mi przyniesie. A wy mnie nie szukajcie, sam przyjdę domu.

— Dobrze,—powiedzieli bracia.

Na tym się rozstali.

## XV

Raniutko wyszedł Stefan z Demjanowej szopy. Przeszedł poza gumnami do zagajnika, zawrócił i zagajami pomknął ku Remusowemu zakrętowi. Wybrał tam dobrą pozycję i zaczął czekać na Helenkę.

Słońce wznosiło się jakoś opieszale, rosa opadała powoli. Być może opadałaby ona tego ranku bardzo długo, gdyby Hela nie przyszła przed czasem.

Stefan zauważył ją zdaleka. Szła szybko, oglądając się na strony. Była to już teraz śliczna piętnastoletnia dziewczyna. Wiedziała, że zaczynają się za nią oglądać, i to dodawało jej pewnej dumy.

Dobrym, przyjaznym uśmiechem spotkała Helenka Stefana.

— No, jak się masz, bogoburco?

Jak tu rozumieć takie powitanie? Czyżby i ona przeciw niemu?

O tym Stefan dowie się z dalszej rozmowy.

Chce on zachować powagę, nawet pewną szorstkość, jak to wypada temu, kto poszedł sam przeciw wszystkim. Więc odpowiada ponuro:

— A ot, włóczę się jak wilk, samotny.

— Biednys ty, Stefku, tak mi cię żal.

Stefanowi, z jednej strony, przyjemnie jest, że Helenka go żałuje, jeśli jednak na sprawę spojrzeć z punktu widzenia bohaterskości, to takie żalowanie traci wszelką wartość, i jest całkiem nie na miejscu. Wystąpił on przeciw bogu i przeciw ludziom, a tu go żałują. Nie żałować—a współczuć można tu tylko. I nawet wczorajsze oładki gryczane, które mu przysłała Hela, wydają się Stefanowi w pewnym stopniu obrazą dla jego buntowniczego ducha.

Więc odpowiada:

— A czego tu żałować? Czyż to zginąłem, czy co? I umierać wcale się jeszcze nie wybieram.

Mówi Stefan, ale na Helenkę nie patrzy, aby po oczach nie poznała, że trochę udaje.

— A cóż ty dalej robić będziesz?

Ma Stefan gotową odpowiedź i na to pytanie, ale żeby się utrzymać w roli, oznajmia tragicznie:

— Bandytą zostanę.

Helence robi się straszno od tych słów. Z lękiem patrzy na Stefka, a Stefek już zerknął na Helenkę. I widzi, że ma

ona piękne brwi i śliczne oczy, jakgdyby je pierwszy raz ujrzał. Od tego spojrzenia przestraszyć Helenki mija. Odgaduje ona więcej, niż on jej powiedzieć zamierzał.

— A kogoż ty mordować będziesz?—umie udawać i Helenka.

A Stefek nie pomyślał kogoż to, doprawdy, ma on zabijać.

— Tych, kto mi stanie wpoprzek drogi,—oświadcza więc jeszcze bardziej ponuro.

Helenka walczy z uśmiechem, który gotów zakwitnąć na jej świeżych usteczkach. Chyli trochę na bok swą jasną główkę i pyta:

— No, a gdybym ja stanęła wpoprzek twej drogi.

Helenka stara się zachować powagę, usteczka jej ściskają się surowo, ale w oczach śmiech się czai.

Mimowoli i Stefkowe usta składają się do uśmiechu. No, i cóżby on począł z nią, gdyby mu stanęła wpoprzek drogi? Wcale nie to chciał powiedzieć Stefan Helence. Czuje fałszywy ton, który sam nadał ich rozmowie. Czyż można myśleć, że Helenka jest przeciw niemu, skoro tu przyszła?

A Helenka wesoło się rozśmiała, zrywa z jego głowy czapkę, wicherzy mu włosy.

— Oj, jakiś ty, Stefku, śmieszny! A czy wiesz, że koło „świętego źródła“ postawili już nowy krzyż? I zrab nową postawiają. A gdybyście go nie zaczepiali, zbutwiałyby napewno sam i niktby go nie odnawiał. No, i co wyszło? Twój ojciec mówił przy ludziach, że cię do domu nie wpuści.

Ostatnie słowa boleśnie dotknęły Stefana, chociaż się tego od ojca spodziewał.

Helenka spogląda na Stefka ze współczuciem.

— Trzeba się zastanowić, co masz ze sobą począć.

— Ja już myślałem o tym. Dzisiaj pójdę do Mińska.

— Piechotę?

— Tak, na swojej własnej parze.



Helenka, zasmucona, pochyła głowę.

— No, a jakże... A pieniądze masz?

— Bez pieniędzy pójdę.

— A do domu wstąpisz?

— Wstąpię.

Helenka nad czymś się zastanawia.

— Nie puści cię ojciec—przepędzi.

— A dlatego właśnie chcę zająć, bo gdybym nie zaszedł, to wyglądałoby tak, że ja sam rodziców porzuciłem.

— A ty się jednak postaraj pogodzić się z ojcem.

— Potym się pogodzimy, a teraz zgody nie będzie.

— Jak się to wszystko niedobrze stało, — przemówiła Helenka.

— A cóż tu niedobrego? Zburzyliśmy wszystko, a żaden bóg nas nie ukarał. A że pokłóciliśmy się ze starami—to głupstwo, przeprosimy się jeszcze.

Czas jakiś milczeli oboje.

— No, cóż, Helenko: pójdziemy,—powiedział Stefan.

Przeszli się trochę po lesie, borowików kilka znaleźli a niedaleko od wsi pożegnali się.

Helenka poszła sama. Końce rozplecionych warkoczy kołysały się na wietrze. Stefan patrzył na nią, stojąc na skraju lasu. Helenka przeszła jakich dwadzieścia kroków, obejrzała się i rzuciła:

— A ten wiersz, to ja o tobie napisałam.

I nie oglądając się więcej, szybko—szybko poszła ku wsi.

Po pewnym czasie poszedł i Stefan. Przełazł przez zapłotki i wszedł do chaty od podwórza.

Ojciec czekał na niego w chacie—młodzi synowie uprzedzili go. Surowy i twardy był człowiek Michał Boruta, ale coś drgnęło w nim, gdy, niepokorny ojcowej woli, syn pokazał się na progu chaty.

Przestąpiwszy próg, Stefan zdjął czapkę.

„Przepraszać będzie“,—pomyślał Michał, i gniew, który już nieco przeminął, zaczął się budzić w nim na nowo. Spokojnie zapytał syna:

— Do komsomołu zapisałeś się?

— Nie, nie zapisałem się,—śmiało spoglądając ojcu w oczy, odpowiada Stefan.

— A ojca posłuchałeś?

To pytanie Stefan przemilczał.

— A przeciw bogu nie poszedłeś?

— Z bogami niesnaski pewne mam.

— Więc czego chcesz?

— Usłyszeć od ciebie, żeś mnie przepędził.

Takiej odpowiedzi ojciec całkiem się nie spodziewał. Czuje ojciec, że syn górę brać zaczyna.

— Sam się wygnałeś,—mówi ojciec, a serce boli go za syna.

Stefan zbiera swoje manatki i dokumenty.

— Dokąd się wybierasz?—pyta Michał.

— Pójdę szukać nauki, może na rabfak się dostanę.

Przypomina się Stefanowi jego rozmowa z ojcem o rabfaku.

— No, idź, ucz się: zmądrzeć powinieneś,—spokojnie odzywa się ojciec.

Słucha matka i nic pojąć nie może, jakby jej rozum odjęło.

Stefan chce jeszcze coś wziąć, ale nie odważa się—nie warto. Chleba u ludzi poprosi.

Ojciec milczy, na kąt z obrazami spogląda.

Milczą też i lekliwie się rozglądają Oles i Jurek.

Stefan zebrał się. Idzie, zatrzymuje się koło drzwi, ogarnia wzrokiem chatę.

— No, więc bywajcie zdrowi.

Nikt mu nic nie odpowiada.

Stefan stąpa krok, zatrzymuje się na progu.

— Ja, mam, zawiniłem wobec ciebie.. No, ale nie gniewaj się ty na mnie.

Matka zrywa się ku niemu, zarzuca mu ręce na szyję, a głowę do piersi jego tuli...

Płacze na głos i Jurek. Oleś trzyma się twardo, milczy zacięcie, spoglądając od czasu do czasu z podoba jak wilczę na ojca.

Na ulicy przed oknami ludzie się zbierają.

— Zostaw go, coś się tak do niego przylepiła!—krzyczy na żonę Michał.

Stefan wyzwala się z matczynej rąk. Wychodzi na ulicę. Niema czego wstydzić się ludzi. Spoglądają ludzie na Stefana, a on wysoko podniósł głowę, patrzy na swoją drogę.

— A dokąd-że ty?—pyta czyjś głos.

Stefan nie odwraca się, i, nie zatrzymując się, rzuca:

— Budować nowy zrąb do nowego źródła.

Michał Boruta siedzi za stołem. Na ulicę spojrział przez okno. Dwie łzy popłynęły mu z oczu. Popłynęły i wyschły.

— Dobry chłopiec!—mówi sam do siebie, a potem dodaje:

— I djabli go nie wezmą

## CZEŚĆ DRUGA

### Za progiem.

#### I

Minął Stefan wieś, w pole wyszedł.

Niezmierzone przestwory leżą przed nim, spoglądają na niego niezliczonymi oczami, spoglądają milcząco i w zadumie, jakgdyby pytały: „Jaka burza niesie cię, chłopcze? Dokąd i po-co?” I jakieś, nieznanne dotąd, uczucie tęsknoty ogarnęło Stefana, gdy wszedł na pagórek i obejrzał się na wioskę. Wszystkie, co było najdroższego w jego życiu—dzieciństwo, towarzysze, rodzina, Helenka i to pieszczotliwo-miękkie drganie strun jego serca,—wszystko to pozostało tam, pod słomianymi strzechami, ponad którymi tu i ówdzie górowały wierzchołki drzew.

Stefan zmusił się do odwrócenia oczu od wsi, aby nie podać się ogarniającej go tęsknocie.

— Bywaj!—powiedział głośno, ostro zawrócił i szerokimi krokami ruszył na przeciwległe zbocze pagórka, skąd wioski już nie widać. Uszedszy pół wiorsty, jeszcze raz obejrzał się,—obejrzał się i zatrzymał: z pagórka jak kula pędził Oleś, brat jego, i machał czapką na Stefana, aby zaczekał.

Oleś wkrótce dopędził brata. Zadyszał się chłopak od szybkiego biegu, aż poczerwieniał: tak bardzo chciał dogonić Stefana. Serdecznie uśmiechnął się do brata. A Stefan popatrzył zdziwiony: jaka przyczyna zmusiła Olesia do dopędzania go?

— Mama mnie posłała... Masz tu chleb na drogę!

Oleś podał bratu torbę z białego zgrzebnego płótna dosyć solidnie naładowaną chlebem i słoniną, a potem wy dostał z za pazuchy maleńkie zawiniątko.

— Mama ci tu trochę pieniędzy przysyła. A tu jakaś kartka od Mykitki Łaguna.

Stefan wahał się chwilę: wziąć czy nie wziąć taką posyłkę.

Ale tak mocno wzruszyła go matczyzna dobroć i tak winnym poczuł się wobec niej, że nie śmiał wyrzucić jej krzywdy. A i Olesia skrzywdziłby przecie.

— Dziękuję ci, braciszku! Powiedz mamie, że nigdy jej tego nie zapomnę, nigdy już nie powiem jej złego słowa.

I Stefan odwrócił się trochę od brata, aby nie pokazać mu swych oczu.

— Którędy ty pójdziesz?

— Na Zagórze, a potem—torem kolejowym.

Oleś wiele chciał jeszcze powiedzieć bratu, ale słów mu brakowało.

A może lepiej nie mówić! Nie wytrzymał jednak i powiedział, ale zupełnie co innego, niż to, co mu się rzec chciało.

— No, a bać się nie będziesz?

— Ja?—Stefan uśmiechnął się.—Nie, bracie, ja się niczego nie boję.

Oleś aż pozazdrościł bratu: on taki wielki, śmiały i dzielny.

— Tutaj jest taka ścieżka, że można łatwiej przejść.

— Wiem,—odrzekł Stefan i powiedział stanowczo:

— No, bywaj zdrów, braciszku!... Mamie tam dopomagaj.

Stefan zajrzał Olesiomu w oczy, kiwnął głową i, zarzucając kij z torbą na plecy, poszedł swoją drogą.

Oleś postął trochę, spozierając w ślad Stefanowi, a potem powoli i poważnie zawrócił, od czasu do czasu oglądając się na Stefana. Ale Stefan prędko znikł z oczu, bo droga wiodła zaroślami.

Im dalej odchodził Stefan od wsi, tym bardziej droga stawała się ona dla niego, ale jednocześnie niepostrzeżenie wypierały ją z jego duszy nowe myśli, nowe rozważania, wrażenia podróży i to niewiadome, dalekie, co go czekało w blizkiej przyszłości. Chwilami ogarniało go poczucie samotności. A kiedy minał już Zagórze, poczuł, że to—ostatni próg, który łączył go z wsią rodzinną, bo w Zagórzcu uczyła się Helenka, a od Zagórze rozpoczęło się wszystko nowe całkiem i obce.

## II

I Zagórze pozostało już poza nim.

Jeszcze trzy wiorsty, i Stefan wyszedł na tor kolejowy. Uszedł już wiorst siedemnaście. Nawet nogi go już trochę zabolały. Nad torem zatrzymał się chwilę, spojrzął w obie jego strony. Dla większej pewności zapytał spotkanego nieznanego wieśniaka, w jakim kierunku trzeba iść do Mińska i jak daleko jeszcze do niego. Zmierzył drogę oczyma. Leżała milcząca, bez znaku życia, ale jakże piękna, jak powabna! Zgrabnie leżały szyny, równe, dokładne ich skrety, harmonijny ich bieg. A słupy z równo naciągniętym grubym drutem! Dniem i nocą wygrywa na nich wiatr swe pieśni, pieśni przestworów świata, a mądra myśl ludzka lata po nich jak ptak lekkoskrzydły; białe gałki na słupach wyglądają zdaleka jak białuchne gołębie.

Te oto, mocno między sobą związane szyny jednym końcem opierają się aż o Mińsk. Osiemdziesiąt sześć wiorst! Oj, niemały to kęs dla nienawykłych do marszu nóg!

Idzie Stefan, kroczy torem po podkładach, albo wąziutką ścieżką, co wije się bokiem nasypu wzdłuż toru, idzie, mija czerwone domki dróżników, przejazdy, kępy drzew, a przed nim otwierają się wciąż nowe i nowe widoki: lasy, łąki, mostki, pozołkłe łąny pól, gdzie trafiają się tu i ówdzie kopy niesprzątniętego jeszcze owsa, i spowite siną mgłą dale.

Z każdym skretem drogi, z każdą nową wiorstą Stefan odczuwa coraz silniej potęgę tych nieznanych przestworów, wśród

których porozrzucane są ciemno-niebieskawe plamy lasów. I te wioski, i ludzie, i gaje wzdłuż drogi spozierają na niego, jak na obcego, nieżyczliwie, a nawet, zdaje się, wrogo. Smutek i niepokój ścisła serce...

Przypomniała mu się Helenka. Od tego wspomnienia stało mu się odrazu jakoś ciepło i radośnie. Ale czemu nie wyszła go pożegnać, gdy wychodził sam ze wsi w tę nieznaną drogę? Pokazałaby się choć zdaleka. I żal mu było Helenki, i trochę urazy do niej chował. Przypomnił sobie spotkanie z nią. Miłe było spotkanie! Nie, Helenka—droga, złota dziewczyna! Takiej dziewczyny Stefan nie zapomni nigdy. Te myśli i uczucia jak ostatnie ogniwa poruszyły się w sercu Stefana i ustąpiły miejsca innym myślom i innym uczuciom.

Jeśli smutek i samotność nie zgnębiły Stefana, to dlatego tylko, że za plecami miał torbę ze słoniną. Ta torba była mu przyjacielem, bliskim człowiekiem, swojakiem, z którym nie tak ciężko bywa w drodze. Kołysząc się na plecach w takt jego kroków, torba im dalej, tym częściej zaczynała mu przypominać o sobie. Więc Stefan zaczął rozglądać się za lepszym miejscem dla odpoczynku. Miejsce takie wkrótce się znalazło.

Zboczył z drogi, wybrał zaciszne miejsce na brzegu małego strumyka i rozłożył się na popas. Wiatr polny i gorące sierpniowe słońce bardziej jeszcze opaliły jego zagorzałą twarz. Stefan raźnie rozwiązał torbę i, zdjawszy wiejskim obyczajem czapkę z głowy, odłamał kawał chleba, oderwał naderznęty kawałeczek słoniny i ze smakiem zaczął się posilać.

Pokrzepiwszy się, Stefan napił się wody ze strumienia. I wtedy poczuł takie zmęczenie, że musiał się trochę położyć. Spać chciało mu się tak mocno, że oczy same kleić się zaczynały. Ale Stefan przemógł się: nie, spać się nie godził! Kto wie, co może się przytrafić! Lepiej posiedzieć trochę, a potem pomału dobrać się do stacji, tymbardziej, że wieczór zaczął się już zbliżać, a do stacji pozostawało pięć wiorst co najwyżej.

I teraz dopiero zrozumiał Stefan, że droga—to nie taka łatwa sprawa, jak mu się to wydawało w domu. Teraz trzeba dojść do pierwszej stacji dopiero, a przecież są tam jeszcze takie cztery. Nie tak prędko i łatwo dobrniesz do nich na własnych nogach!

W tym przyszła mu do głowy śmiała myśl—trzeba jakkolwiek dostać się do pociągu i machnąć dalej koleją! Ta myśl przepędziła z jego głowy wszystkie inne myśli. Nawet senność minęła. Stefan podniósł się znowu na nogi, zarzucił torbę na plecy (a była ona teraz lżejsza nieco), wyszedł na tor i podreptał wzdłuż niego wąską, długą, tak dobrze mu teraz znaną, ścieżyną. Idzie i miarkuje, jakby się łatwiej dostać do pociągu. Musi koniecznie spróbować szczęścia: jeżdżą przecie ludzie pociągami, dlaczego on nie miałby się przejechać? I na czasie by zaoszczędził, i na wszystkim innym. Utkwiła mu przytym w głowie głupia myśl: jeśli pojedzie pociągiem, to uda mu się wstąpić na rabfak!

### III

Słońce było już całkiem nisko nad lasem, gdy z poza zakrętu drogi wynurzył się przed Stefanem semafor, jakby jakiś wartownik z wyciągniętym ramieniem.

Stefan widział go po raz pierwszy, i nie mógł się zorjentować, poco stoi tutaj ten dziwny słup. Nie było jednak kiedy zastanawiać się nad tym, bo wkrótce między kępami drzew ukazała się i stacja. Aż serce chłopakowi silniej zabiło: na tej stacji trzeba będzie rozwiązać swoje, powiedzieć można, pierwsze zadanie, zadanie samotnego wędrowca, i rozwiązać własnym rozumem, bo któż ci tu dopomoże? I nie jedno zadanie, a dwa: przenocować i dostać się do pociągu. A ta natrętna myśl—jeśli pojedzie pociągiem, to dostanie się na rabfak—wciąż tkwi w jego głowie, nęci go, spokoju nie daje. Z temi dwoma zadaniami wiąże się cały szereg innych. Od czego zacząć? Jak postąpić?



Zwolniwszy tempo kroków i nieśmiało się rozglądając, zbliżał się Stefan do stacji. Uwagę jego przykuwają puste wagony, zapędzone na boczną linię. A może te wagony idą właśnie do Mińska?

Stefanowi nigdy dotąd nie zdarzyło się być na stacji, i teraz każdą piędź jej ziemi, każdy szczegół musi opanowywać własnym rozumem. Na stacji było dość pusto i cicho. Tu i ówdzie pokaże się ludzka figura i zniknie niewiadomo gdzie. Stefan stąpa coraz wolniej, rozglądając się dokoła. Spostrzegł gromadkę chłopaków, takich akurat, jak Oleś i Jurek; szli oni skądś z drugiej strony toru przez szyny, kierując się do głównego budynku.

— Powiedźcie, chłopcy, co to za stacja? Stefan wie, jak nazywa się stacja, ale trzeba mu nawiązać rozmowę z chłopcami, aby dowiedzieć się o tym, co go najbardziej interesowało.

— Stacja Niekleba, wyłaż komu trzeba! — posłyszał odpowiedź, i gromadka łobuzów, jak wystraszone wróble, ze śmiechem pomknęła dalej po peronie wzdłuż zabudowań. Jeden z nich, uciekając, odwrócił się ku Stefanowi i krzyknął:

— Przeczytaj: tam napisane!

Chłopak myślał, że Stefan jest niepiśmienny, zadrwić sobie chciał z niego. Stefan przyjął jednak na serjo to, co powiedziane było żartem. Rzeczywiście, dlaczego nie zapoznać się z napisami? Odwrócił więc głowę w stronę budynków i podniósł oczy w górę. Znalazł tu napisy: „sala I kl.“, „sala II i III kl.“, „bufet“, „telegraf“, „wydział bagażowy“, a także „dla mężczyzn“, „dla kobiet“ i inne. Na dworze ciemnieć już zaczęło, i trzeba było dobrze się przyglądać, żeby rozróżnić niezupełnie wyraźne litery, które widocznie zatarły się z biegiem czasu.

— Czego ty tu szukasz?

Stefan drgnął, bo pytanie spadło na niego niespodzianie, a w głosie nieznanego człowieka — Stefan go nie zauważył nawet — czuć było surowość naczelnika, chociaż, co prawda, naczelnik to był niewielki. Był to tylko zwrotniczy, człowiek

średniego wieku, o jasnych, opuszczonych w dół wąsach, w zaplamionym kubraku. Za pasem miał zatknięte dwie chorągiewki sygnałowe, a na ramieniu zawieszoną trąbkę.

— A niczego, tak sobie patrzę.

Stefan przypuszczał, że na tym się skończy, ale zwrotniczy nie dał za wygraną, bo Stefan wydał mu się człowiekiem podejrzany, a we wszelkim razie godnym uwagi. W takich wypadkach zwrotniczy nigdy nie opuszczał sposobności wypytania się kto, poco, dokąd i jak? Był to człowiek ciekawy i bardzo lubił posłyszeć to i owo: według jego zdania na świecie powinno jeszcze stać się coś ciekawego, coś takiego, po czym dopiero rozpoczęłoby się prawdziwe życie.

Zwrotniczy, nie odchodząc od Stefana, zaciągnął się dymem ze skręconego papierosa, trzymanego w dwóch palcach, zaciągnął się zajadle i zapytał:

— Jedziesz dokąd?

Stefan uśmiechnął się.

— Nie, piechotą idę.

W tonie Stefanowej odpowiedzi czuć było grzeczność i szacunek dla zwrotniczego, co się temu bardzo podobało.

— A dokąd idziesz?

— Do Mińska.

— Do Mińska? piechotą?

— Nie mam za co jechać.

— A poco ty idziesz do Mińska?

— Chciałbym uczyć się.

Zwrotniczy raz jeszcze zaciągnął się papierosem i niedopałek rzucił na peron.

— Uczy-y-y-ć się! Widzicie go? A skąd ty jesteś?

— Z Zaborców.

— Ot, zuch!.. Ale ja ci powiem, że ta dzisiejsza nauka...— Zwrotniczy potrząsnął głową i machnął ręką.—Licha ona nie warta. Rozpusta a nie nauka.

— Nie, ojcze, nieprawda!—z zapalem zaprzeczył Stefan:— teraz dopiero jest prawdziwa nauka. To dawniej tylko dzielili naukę dla biednych i dla bogatych: dla bogatych—uniwersytety, a dla biednych—duby smalone. Uczyli tylko, żeby podatki płacić, na bogatych pracować i przed bogiem drzeć ze strachu.

— Ot, w tym to właśnie, braciszku, rzecz cała, że boga bać się przestali. A jeśli ty w boga nie wierzysz, to jaki z ciebie człowiek? Czym się ty różnisz od bydłęcia?

— Rozumem.

— A rozum kto ci dał?

— Rozum od przyrody.

— Od przyrody!.. A przyroda skąd się wzięła?

— No, a bóg skąd się wziął?—spytał z kolei Stefan.

— Myśmy robaki w porównaniu z bogiem. Jak włąć możemy go znać?

— A skoro go nie znamy, to jakże wierzyć w to, czego się nie zna?

Zwrotniczy popatrzył na Stefana.

— A czy znasz ty Haraburdę?

Stefan zmieszał się nieco.

— Jakiego Haraburdę?

— A ot, jest taki.

— Nie, nie znam.

— A czy możesz powiedzieć, że Haraburdy niema?

Stefan zawahał się, a zwrotniczy atakował go jeszcze bardziej energicznie, wyciągnawszy z tego odpowiednie wnioski, a potem poklepał Stefana po ramieniu i powiedział:

— Trzeba, bratku, długo się uczyć, aby wiedzieć cośkolwiek. I uczą się ludzie, aż lysieją z uczoneści, a wszystkiego wiedzieć nie będą. Ucz się i ty. Tylko, jak ty się do Mińska dostaniesz? Szkoda mi cię, chłopcze, i nóg mi twoich młodych szkoda.

Wynik tego spotkania i tej dysputy był taki, że zwrotniczy zaprosił Stefana do siebie, poczęstował go kwaśnym mlekiem i pozwolił przenocować. A rano wsadził go do budki hamulcowej, oddając pod opiekę znajomemu konduktorowi z towarowego pociągu.

#### IV

Ludzie rzadko bywają tak szczęśliwi, jak szczęśliwy był Stefan, siedząc w budce hamulcowej. Gdyby to szczęście i ta radość, co czasem, chociaż rzadko bardzo, spadają na człowieka, mogły śpiewać i dzwonić swymi akordami, to ucho nasze słyszałoby najcudniejszą w świecie muzykę. Taka muzyka grała teraz w sercu Stefana. Nie myślał on teraz o niczym, obserwował tylko te obrazy, co wylaniały się z głębi jego samego i cichutko się do siebie uśmiechał.

Stefan wypoczął po drodze, a rano nowego dnia, tak szczęśliwie rozpoczętego, rozsiewał na stacji i dookoła promienie światła, nadziei i jakiejś nieznanej, niewytłumaczonej niczym radości. Skroś wysokie okrągłe topole, które stały na stacji, przebijają się słońce, a liście ich falowały tak cicho i tak poważnie, że Stefanowi zdawało się czasem, iż szepczą one coś temu nowemu dniowi i jasnemu słońcu. Na czele pociągu monotonna sapał parowóz. Jego wysoko podniesiony, staroświecki jeszcze komin, niby głowa turka w turbanie, wypuszczał gęstymi kłębami wstęgi czarnego dymu. Jeszcze chwil kilka i chrypliwa pieśń parowozu urwała się, przycichła. „Tuch-tuch-tuch-tuch“! zasapał on gniewnie, potężnie dmuchnął dymem, wyrzuciwszy w górę cztery kłębki, a w ślad za tym zagwizdał cienko przeraźliwie i przeciągle. „Kiw-heć!“ zaskrzypiały wagony i pociąg drgnął, zadzwonił łańcuchami, zaklekotał buforami, poruszył się niechętnie i leniwie, zatrzymał się, drgnął mocniej, ruszył z miejsca i, dzwoniąc łańcuchami, pojechał po szynach, coraz przyspieszając biegu.

Stefan stał w ciasnej budce między wagonami i hamulcem i spozierał, jak się cofała stacja z zabudowaniami, wodociągiem, semaforem i okrągłymi topolami, stając się coraz mniejsza i mniejsza, dopóki nie znikła z oczu, kryjąc się za wypukłością gruntu. Na hamulcu nikogo więcej nie było i Stefan czuł się zupełnie swobodnie. Początkowo był on całkowicie pochłonięty jazdą i temi nowymi widokami, które przesuwały się przed jego oczyma. O niczym nie myślał, było mu wesoło i radośnie. Wypadki dni ostatnich odsunęły się gdzieś daleko—daleko, jakby ich zupełnie nie było, jakgdyby się tylko przyśniły. Ale niepostrzeżenie, w miarę tego jak pociąg mknął dalej i dalej, zaczęły go opanowywać myśli o mieście, o wstąpieniu na rabfak. Gdzie zatrzymać się w nieznanym mieście? Co robić, jeśli nie przyjmą go na rabfak? Gdzie podziać się wtedy?

I Stefan spoglądał w stronę, kędy mknął pociąg. Prawda, „mknął“ on nienazbyt już szybko, ale Stefanowi, który nie widział nigdy bardziej szybkiego biegu, zdawało się, że leci jak sokół. Oglądał się ciągle, czy nie widać czasem Mińska, ale do miasta było jeszcze daleko. Niepokój Stefana doszedł do najwyższego stopnia po przejechaniu przedostatniej stacji. Miasto długo się nie ukazywało, i dopiero pod wieczór wynurzyły się, jakby z pod ziemi, wieże cerkwi, kościołów i gmachów miejskich.

Więc to taki jest Mińsk?

Oj, jakie to miasto! Stefan aż głową zakiwał: zdawało mu się, że większego, piękniejszego miasta na świecie niema.

Ech, Mińsku, obszarpany, potłuczony, spalony bratnią polską ręką! Gdybyś ty wiedział, jak szczerze był zachwycony Stefan twoim ogromem i pięknnością, zakwitłbyś szczęśliwym uśmiechem od samego dworca Brzeskiego aż po Komarowskie błoto, a twoje chodniki i ulice, nietylko nie usłane „strofami“ Kupały, Kołasa i Biaduli, jak skarżył się pewien poeta, ale nawet „komchozkiemi“ kamieniami, napewno powiedziałyby:

„Pod ziemię zapaść się, aby tylko nie zobaczył Stefan naszych brudów i naszego zaniedbania!“

Pociąg zatrzymał się dość daleko od stacji. Stefan wylazł z wagonu, obejrzał się dokoła, dokąd się skierować, i powoli ruszył w stronę dworca. W drzwiach, przy wejściu na salę, zatrzymano go. Najadł się tu Stefan strachu. Trzeba było nawet pokazać dokument, zaświadczenie Mykity Łaguna o tym, że Stefan jest dobrym bezbożnikiem i kandydatem do komсомоłu. Od siebie dodał Stefan, że idzie piechotą sto wiorst, aby wstąpić na rabfak. O jeździe w pociągu towarowym, Stefan, ma się rozumieć, dyplomatycznie zamilczał. Przepuszczono go z szacunkiem.

Na stacji było ludno i zgiełkliwe. Na ławach pod ścianami i na środku siedzieli i leżeli pasażerowie, obłożeni różnymi pakunkami. Tu i ówdzie snuły się ludzkie figury, jakby nie znajdując sobie miejsca. Jedni siedzieli milcząco, nieruchomie, inni rozmawiali ze sobą, żartowali, śmiali się. Niektórzy byli pogrążeni w czytaniu gazet. Stefan objął wzrokiem cały ten tłum mężczyzn, kobiet i dzieci, wiejskich i miejskich—nigdzie nie było nikogo, ktoby przynajmniej uwagę zwrócił na niego. Obcy, nieznani, dalecy, nieżyczliwi, zajęci sami sobą. Stefan, zatrzymawszy się w zacisznym mniej więcej miejscu, postać trochę, rozglądając się między publicznością i rozważając, co począć, gdzie spędzić noc. W ostatecznym razie można się tutaj jakkolwiek ulokować. Czasu mu wystarczy: całe dwa dni zaoszczędził w drodze. Pierwszy niepokój, który go tu opłonywał, minął i Stefan zaczął zastanawiać się bardziej spokojnie. Szczęśliwa myśl wywołała w jego pamięci Dom Włościanina, o którym czytał jeszcze latem. Odnaleźć ten dom, urządzić się tam—oto jego pierwsze zadanie. Stefan poweselał. Wyszedł ze stacji na podjazd, zapytał ludzi, gdzie jest Dom Włościanina; dowiedział się, że na przeciwległym końcu miasta, że siadszy do tramwaju konnego, można dojechać aż do samego tego domu.

Dobry to pomysł ten Dom Włościanina i nie jeden tylko Stefan znalazł tu przytułek. Nie mógł się Stefan nachwalić tego domu, bo gdzieby się podział w nieznanym mieście? A tutaj i odpocząć można po ludzku, i czas rozumnie spędzić wśród gazet i książek, i dowiedzieć się o sprawach potrzebnych.

Stefan przebudził się dosyć wcześnie. W domu było cicho. Oprócz niego było tu jeszcze kilku obcych ludzi. Zasnąć już nie mógł, ale nie wstawał, by nie przeszkadzać spać innym. Właściwie też i śpieszyć się nie było dokąd. Pierwszą myślą po przebudzeniu było, że jest oto już w mieście i że to druga noc, spędzona poza pr. gmem ojcowskiego domu. Przypomniał mu się ten rodzinny dom i serce się jakoś ścisnęło. Zwłaszcza żal mu się zrobiło matki na wspomnienie, jak przytuliła głowę do jego piersi i zapłakała. Zły z niego chłopak: poco było tak krzywdzić matkę, poco rzucać jej takie bolesne słowa? A ona darowała mu to wszystko, i tyle jeszcze przywiązania do niego wykazała! I ona jedynie zatroszczyła się o to, by nie był głodny w drodze. Stefan uspokoił swe sumienie mocnym postanowieniem uradowania czymkolwiek bądź swej matki, chociażby mu niewiadomo jak ciężko było na świecie. A w ślad za tym napłynęły inne myśli, wiele myśli. Najpierw musi odnaleźć rabfak, tam dowiedzieć się, czy otrzymano jego dokumenty. Prawda, były one wysłane razem z podaniem—wysłali je z nauczycielem pocztą. Ale trzeba się upewnić, czy są tam one: wszystko może się przytrafić! I przerażenie ogarnęło go na myśl, że podanie jego mogło gdzieś zaginać, a przez to cała sprawa może przepaść. Trzeba, trzeba się upewnić, póki nie późno.

Rozglądając się po nowym otoczeniu, ciekawym bardzo, Stefan chciał opisać to wszystko i posłać.. Komu? Przypomniał

sobie Helenkę i odczuł jakieś przyjemne zadowolenie w sercu. Czy napisać do niej list? Napisać, koniecznie napisać. Ale o czym pisać teraz? Niewiadomo, jak się rozstrzygnie sprawa. Lepiej poczekać, aż zakończą się egzaminy. Nie mów „hop“, dopóki nie przeskoczysz!

Ostrożnie bardzo Stefan wstał, ubrał się i wyszedł z pokoju. Na korytarzu spotkał jakiegoś mężczyznę w podeszłym wieku, ubranego po miejsku. Nieznajomy miał widocznie coś wspólnego z Domem Włóścianina.

— Cóż, bracie, nocowałeś tutaj?—uprzejmie zapytał Stefan na nieznajomy.

— Właśnie.

— No i cóż, dobrze ci tu było?—Nieznajomy położył przytym swą grubą, pulchną rękę na ramię Stefana.

Stefanowi przypomniało się hasło „twarzą do wsi“, ale na szerokiej twarzy nieznajomego malowało się tyle dobroci, że nią napewno—i tylko nią można było wytłumaczyć zainteresowanie, okazane Stefanowi. Są przecież na świecie dobrzy ludzie!

Zaczęła się rozmowa.

— A-a-a!—zawołał przeciągle nieznajomy, dowiedziawszy się, że Stefan przyszedł do miasta szukać wiedzy, i usta jego otworzyły się w dobrotliwym uśmiechu, niby wrota w gumnie, naładowanym pod sam szczyt sianem i zbożem.

— Dobrze, dobrze, bratku! Trzeba, trzeba się uczyć!

Stefanowi przyszła nagle do głowy chęćka zapytać o rafbak, jakby go tu odnaleźć. Ale zawahał się trochę, jak nazwać dobrego człowieka: „towarzysz“ jakby trochę nie pasuje, bo nieznajomy taki poważny, a najważniejsza—w wieku taka przecie różnica.

— Przepraszam, ale nie wiem, jak was nazywać.

— Dziaduniem, dziaduniem mnie nazywaj: mnie tu wszyscy tak zowią.



„Dziadunio“ mówił po białorusku.

— Chciałem was zapytać...—Stefan zaciął się, było mu jakoś niezręcznie nazwać go „dziadkiem“,—czy nie wiecie czasem, którędy dojść do rabfaku?

— Chodźmy: opowiem ci i pokażę.

Dziadunio wziął Stefana za rękę i wyszedł z nim na ulicę.

— Wyjdziemy zaraz na Trojecką Górę,—nazywał on po dawnemu Plac Komuny Paryskiej,—a stamtąd pokażę ci, jak dojść do rabfaku.

— No, teraz patrz,—powiedział „dziadunio“, wyprowadziwszy Stefana na środek Trojeckiej Góry,—tam na lewo, widzisz? wysoki komin. To elektrownia, a dalej na prawo cerkiew, widzisz? na wierzchu ucięta wieża, a z prawej strony kołpak taki. To jest muzeum, a na prawo, na samej górze, ten wysoki budynek—to wieża wodociągowa. Więc widzisz, bratku, pomiędzy muzeum i wodociągiem będzie ulica. Z prawej strony ulicy, na rogu, w sadzie—po miejsku nazywa się to skwerem—stoi ta właśnie wieża wodociągowa. Tamtędy właśnie pójdziesz; najpierw spuścisz się w dół, przejdiesz most przez Świsłocz, skręcisz na lewo, potym wyjdiesz na Sowiecką.

Tam zobaczysz i muzeum i wodociąg. Ku nim się kieruj, bracie! Kiedy do wodociągu dojdiesz, idź wzdłuż skweru, miniesz skwer, przejdiesz trochę dalej tą samą ulicą, i tam będzie właśnie ten uniwersytet, ten rabfak. Tam go już łatwo znajdziesz. No, bądź zdrow!

„Dziadunio“ podał Stefanowi rękę i pożegnał się z nim, a Stefan szczerze mu podziękował.

Czas jakiś stał Stefan oczarowany i zachwycał się widokiem miasta. Wysokie białe kamienice malowniczo rozłożyły się na wzgórzach za Świsłoczą i daleko rozbiegały się we wszystkich kierunkach, otulone na krańcach pożółkłemi już wianuszkami sadów. Szczególniej rzucała mu się w oczy część

miasta dokoła Placu Wolności, gdzie wznosiły się olbrzymie wieże cerkwi, klasztorów i kościołów. Coś poważnego i surowego odczuwało się w ich obliczu. Jakby o czymś z przed wieków mówiły swemi murami, milczącemi jak zaklęte, wznoszącemi się wysoko ponad miastem. A cóż to za budynek, tam na lewo... Czy to dom, klasztor czy kościół? A jaki poważny! I tak potężnie wznosi się ponad jego własnymi murami ta ściana, jak gdyby ramię jakiegoś olbrzyma, o niewielkich wycięciach, przez które przeświecało niebo. Gromada kamienie, rozrzuconych na znacznej przestrzeni, malowniczo spuszczała się w dolinę Świsłoczy. Tu i ówdzie na horyzoncie miasta stały, jakby toczone, kominy fabryczne z ogonami ciemnego dymu. Na prawo od wieży wodociągowej, gdzieś w głębi miasta, widniały słupy gęsto osnute drutem. Uwagę Stefana przykuwały do siebie te wysokie żerdzie, wznoszące się, jak ciemne kreski we wszystkich końcach miasta. Do czego one służą? W niektórych miejscach w przerwach między kamienicami przeświecały sine dale, gdzie czerniały lasy, wzgórza i łatki pól—przestwory włościańskich wiosek.

Stefan długo stał, rozkoszując się miastem, i jakieś nowe uczucia nim owładnęły, pociągając go ku temu miastu, a jednocześnie trwożąc i niepokojąc.

Piękne miasto! Ach, gdyby w nim zamieszkać i uczyć się! Stefan ruszył z placu i poszedł szukać rabfaku, kierując się ku wieży wodociągowej. Błąkał się jednak dość długo po nieznanym ulicach, zanim odnalazł tę wieżę, a potem i rabfak.

## VI

Ze strachem wchodził Stefan do kancelarii rabfaku.

To wyobrażenie o rabfaku, jakie wyrobił sobie Stefan w domu, nie odpowiadało zupełnie rzeczywistości, którą widział teraz przed sobą. W kancelarii rabfaku było pełno młodzieży:

i chłopców, i dziewcząt. Dokoła jednego stolika, gdzie siedział jakiś pisarz, a może i sekretarz, bo wygląd i postawa jego świadczyły o nim, jako o sobie poważnej, skupiła się cała gromadka młodzieży. W innych miejscach dosyć obszernej kancelarii stała również grupkami młodzież. Do jednej z takich grupek zbliżył się Stefan, podszedł ostrożnie i nieśmiało, i łowit uchem te rozmowy i ich urywki, które wydostawały się z tej gromadki młodzieży. „Oni również przyjechali wstępować“, powiedział Stefan sam do siebie, przysłuchawszy się ich rozmowie, i popatrzył na tych młodych ludzi, jak na swych konkurentów. To, czego dalej dowiedział się tu, zasmuciło go trochę: nadzwyczajnie wielki napływ ludzi—z pośród czterech trzeba będzie wybierać jednego. „Będą ścinać“, słychać było między młodzieżą.

I oto, o czym mówiono tu jeszcze: przedewszystkim przyjmować będą dzieci robotników, jak już wskazuje samo słowo „fakultet robotniczy“. Usłyszawszy to, ludzie pochodzenia proletariackiego poweseleli. Pozatym, pierwszeństwo będą dawać tym, którzy mają pewien staż pracy fizycznej. No, o komсомоłcach nawet niema co mówić. Do żadnej z tych kategorii Stefan nie należał. I zasług przed rewolucją niema żadnych, żeby przynajmniej gałgana-bandytę jakiego złapał! Prawda, on to podał projekt zburzenia „świętego źródła“, ale ta zasługa—widłami po wodzie pisana. Gdyby tu o tym dowiedziało się, to może i niebardzoby za to pochwalono... Trzeba teraz dobrze pomyśleć. Im więcej wyrastało przeszkód, tym silniej rosła uparta chęć Stefana dobiecia się swego. Pójdzie przebojem, pięści puści w ruch, ale rabfaku nie wypuści. Trzeba się dobić swego—i więcej nie.

Twardym krokiem podszedł do stołu, za którym siedział poważny pisarz, czy też może i sekretarz. Tu właśnie można się dowiedzieć, czego trzeba. Rozepchnął Stefan gromadę i przecisnął się bliżej do stołu. Kilka niezbyt uprzejmych spojrzeń skierowało się ku niemu, ale udał, że ich nie zauważył.

— Zobaczcie, towarzyszu, czy jest tu moje podanie?—Pisarz podniósł wzrok na Stefana. Stefan spojrział na pisarza, popatrzył twardo i poważnie. Pisarz chciał coś powiedzieć, ale zamiast odpowiedzi wziął teczki, przepełnione różnemi papierami.

— Wasze nazwisko?

— Boruta, Stefan.

To „Boruta“ nawet dla samego Stefka zabrzmiało jakoś dziwnie. Stefan zawstydził się nawet trochę, bo wszyscy spojrzeli na niego. A on również spojrział... na jakąś dziewczynę—stała akurat pod bokiem. No, gdzie jej tam z Helenką się mierzyć? Podstrzyżona, kudłata, a gęba wielka.

Pisarz tymczasem szybko przerzucił papiery, zatrzymał się.

— Boruta?

— Tak.

— Jest wasze podanie—i kiwnął głową.

Stefan odszedł. Zrobiło mu się odrazu lekko, jak gdyby przewyciężył coś ważnego i trudnego, albo już wstąpił na rabfak.

O egzaminach dowiedział się również—rozpoczną się nazajutrz. Wrażenie na Stefku zrobiło i to, że studenci rabfaku, organizacja ich, wiele robili starań, aby dopomóc przybyłym obiadami i mieszkaniami. A dopomagać trzeba było, bo wielu nie miało się gdzie podziać, nie miało nic do jedzenia. Golizna, zaledwie okryta golizna stukąła do wrót wiedzy, szeroką falą płynąc z dalekich okęgów. Doszedł do wiadomości Stefana i taki fakt, że starzy studenci-rabfakowcy umieścili kilka osób z takiej biedoty w szpitalu jako chorych, a dobry doktor pozwolił im jako-tako przyodziać się w szpitalne szaty.

Wszystko to było bardzo ciekawe. Ciekawe, bo widać było, że miasto nie zapomina o wsi, a wiadome hasło to nie puste słowa, jak o tym czasami mówiono tam, na wsi. Pierwsza więc znajomość z miastem, daleka i powierzchowna tylko,

otwiera ci oczy. A jeśli zamieszkać tu i uczyć się! Nie, niech się dzieje, co chce, a do rabfaku dostać się trzeba. A jeśli się nie uda? Co wtedy?

Nie, to byłoby dla Stefana zbyt ciężkie.

## VII

Gwarno i ludno było przed gmachem rabfaku w dzień egzaminów. Czerwone chustki dziewcząt mieszały się z męskimi okryciami głowy najrozmaitszych gatunków, poczynając od miejskiej czapki, a kończąc na słomianych kapeluszach domowego wyrobu. Przeważały jednak wiejskie sukienne sukmany. Nie brakowało jednak i „galifé“, także różnorodnych bardzo zarówno pod względem materiału, jak i szerokości swych połączonych worków. Zebrane w jedno miejsce, robiły one odpowiednie wrażenie i wzbudziły w Stefanie uczucie zazdrości, bo sam on nigdy nie miał „galife“. Cały ten tłum pstrokaty, jak żywe etnograficzne muzeum, rozsypał się po schodach, korytarzach i audytorjach, roznosząc z sobą nadzieje swoje i swoje troski.

---

Okazało się, że Stefanowe pojęcie o egzaminach również nie odpowiadało rzeczywistości. Stefan przypuszczał, że egzaminy odbywać się będą w komisjach, gdzie będzie wielu różnych profesorów. Okazało się, że egzaminował jeden człowiek. W niektórych audytorjach siedziało po kilku profesorów — może to zresztą i nie profesorzy, ale myśleć o nich jako o profesorach, nikomu nie zaszkodzi, a już najmniej samym „profesorem“ — egzaminowali, co prawda, z jednego przedmiotu, ale każdy z osobna.

Stefan zaszedł do audytorjum, gdzie odbywał się egzamin z matematyki, aby się najpierw przypatrzeć i przysłuchać, a potem wybrać sobie najlepszego „profesora“. Te pytania, które zadawali profesorowie, były dla Stefka tak proste i łatwe,

że raptem nabrał odwagi i, trzymając w ręku swą kartę na prawo składania egzaminów, stanął w niewielkiej kolejce. Stojąc za plecami jakiegoś nieznanego towarzysza, Stefan to uśmiechał się, to wzruszał ramionami, słysząc błędne odpowiedzi. A kiedy kolej przysła na niego i profesor zapytał go o coś z arytmetyki, to Stefan, odpowiedziawszy dokładnie na wszystkie zapytania profesorskie, dodał zaraz od siebie, że zna bardzo dobrze wszystkie działy arytmetyki. Ale takim oświadczeniem narobił sobie kłopotu, bo profesor mu zaznaczył:

— W takim razie nie macie co robić na rabfaku.— Sprzezać się z profesorem było ryzykownie, więc Stefan zamilkł. Profesor tymczasem ocenił sprawiedliwie jego wiadomości i odnotował to na jego kartce. A Stefan doszedł do przekonania, że wiedzieć za dużo jest równie niedobrze, jak wiedzieć za mało. Trzeba być ostrożnym i trzymać się środka.

Egzaminy ciągnęły się prawie tydzień. W ciągu pierwszych dni Stefan zdał wszystkie, ale spokojny nie był: można zdać wszystkie egzaminy i nie być przyjętym na rabfak. Odbędzie się jedna jeszcze komisja po skończeniu egzaminów. Ta komisja właśnie orzeknie, kogo przyjmą, a kogo nie. Nudnie wlokły się dla Stefana ostatnie dni. Włóczył się po mieście, zawarł znajomości z niektórymi chłopcami z pośród tych, którzy razem z nim wstępowali na rabfak. Czasu jednak pozostawało wiele. Obawiał się Stefan, że komisja uzna go za bogatego, a może i za kulaka, i z tej przyczyny nie przyjmie. Dlatego więc z takim niepokojem oczekiwał dnia, kiedy komisja przyjmie studentów do rabfaku.

Dzień ten nadszedł... Ech, bodajby lepiej nie przychodził: nie przyjęła Stefana komisja, i nie tylko Stefana, a setki takich Stefanów: nie starczyło miejsc. Jak skazani na wygnanie chodzili nieprzyjęci ze zwieszonymi głowami, stukali do różnych drzwi, drzwi te otwierały się przed nimi, ale pomagać — nie wiele pomagały.

Zachmurzony i poważny chodził Stefan dokoła gmachu rabfaku. Zył się z nim, polubił go, i w myślach swych żył już i uczył się w nim, i nie został przyjęty! Co począć? A robić coś trzeba. Tu i ówdzie się zwrócił—odpowiedź jedna:

— Cóż robić? Miejsce niema... Komisja tak postanowiła.

Zwrócił się do jednego, do drugiego członka komisji. Jeden i drugi członek komisji artystycznie wrzusał ramionami, rozkładał ręce i robił niewyraźne miny.

— Miejsce niema. . To nie ja — komisja tak postanowiła. Zwróćcie się do „Gławprofobru“.

Poszedł Stefan do Głównego Zarządu Oświaty Zawodowej.

I korytarz, i pokój obok tego Wydziału, i nawet gabinet, gdzie siedział sam kierownik Wydziału, były szczelnie nabite uczącą się młodzieżą. Dziwił się Stefan, skąd jej się tyle nazbierało.

Kierownik Wydziału Oświaty Zawodowej zmęczony, zdenerwowany, o bladej, pociągłej twarzy, siedział jakgdyby w oblezionej fortecy, rozmachiwał rękami, podnosił się i siadał, jakby broniąc się od pszczoł, a ze wszystkich stron nacierano na niego, nacierano uporeczywie, żywiłowo. Przecisnąwszy się bliżej, Stefan przypatrywał się scenom rozmów młodzieży z kierownikiem, przyczym zauważył, że nie wszystkim on odmawia, że czasem robi adnotacje na dokumentach, poczym proszący odchodzili od niego z twarzami wesołemi. Jedno jeszcze spostrzeżenie poczynił Stefan: kto mocniej nacierał, ten dobijał się swego. Dlatego też, kiedy Stefan wysunął się naprzód, to przybrał wojowniczą postawę i groźny wyraz twarzy.

— Czego chcecie?—rzucił kierownik.

— Zdałem egzaminy do rabfaku, a nie przyjęto mnie.— I podaje świadectwo o złożeniu egzaminów.

Kierownik spojrział na kartkę.

— Cóż ja mogę zrobić?—krzyknął i machnął ręką.

— A co ja mam robić?—podniósł głos i Stefan, i również machnął ręką.

Kierownik spojrzał na Stefana, jakby zbity z tropu, a Stefan, nie dając mu przyjść do słowa, zasypał go zdaniem:

— Ojciec mój jest biedny i nie ma z czego żyć. Mnie z domu przepędził za to, że do komsomolców na zebrania chodził. Sam się przygotowałem, sto wiorst piechotą przeszedłem, zdałem egzaminy... A teraz co mam robić? Pójść kraść? Ja chcę się uczyć, aby przynieść korzyść państwu.

Kierownik wziął kartkę i skreślił na niej swą decyzję. Zwracając ją Stefanowi, powiedział gniewnie:

— Zaliczą was powyżej normy, ale na pomoc nie liczcie.

Nie wierząc swemu szczęściu, Stefan mówił sobie w myśli:

„Byłe mnie tylko przyjęli. Resztę się zrobi“.

---

Późną jesienią matka Stefana siedziała przy kołowrotku, a Michał Boruta majstrował przy saniach na zimę. Oleś siedział przy lampie z listem w ręku, a obok stał przy nim Jurk. Oleś czytał:

„Drogi ojcze, mamo, Olesiu i Jurku!

Pozegnałem się z wami trochę nie tak, jak z ludźmi. Przebaczenie mi i nie gniewajcie się na mnie. Przyznaję, że zawiniłem.

Wstąpiłem na rabfak. Chociaż trudno było, ale wstąpiłem. Na rabfaku uczy się nas przeszło 450 ludzi. Podczas lekcji rankiem o 9-ej godzinie, kiedy zbiorą się wszyscy fabfakowcy, to budynek huczy tak, jak pszczoły w ulu. Tyle bywa ruchu, że więcej niż u nas na wsi w żniwa. Po lekcjach o godzinie 3—4-ej chodzimy na obiad do swej studenckiej stołówki. Tam, w tej stołówce, obiada się tyle ludzi, że u nas we wsi niema ani jednej tak wielkiej rodziny: około 1.300—1.500 studentów. Po obiedzie chodzę czytać gazety i uczyć się w kółku. Tutaj przygotowujemy lekcje na następny dzień.

Kładziemy się spać bardzo późno: o godzinie 12-ej, albo i o pierwszej w nocy. Cały czas się uczymy i czytamy wiele książek.



Mieszkamy wszyscy w wielkim murowanym domu w oddzielnych pokojach. W naszym pokoju mieszka 9 chłopców: 4 białorusinów ze wsi i 5 żydów z fabryki. Żyjemy jak jedna rodzina. Jeśli jeden ma coś, na przykład jedzenie, to korzystamy z tego wszyscy. Oprócz chłopców są u nas i dziewczęta. Mieszkają one w oddzielnych pokojach. Dają nam stypendjum — 12 rubli na miesiąc, ale odtrącają z tego za obiady, kolacje, chleb i różne drobne wydatki, tak że gotówką dostaję 2—3 ruble. Lepszego życia w domu nigdy nie widziałem, więc czuję się dobrze. Niedawno nasz rabfakowski komitet wydał mi siennik, koldrę i materiały na bieliznę. Do łaźni chodzimy stale co 2 tygodnie. Z komsomolcami żyję bardzo dobrze. Myślę już o wstąpieniu do komsomolu, aby być zorganizowanym i prowadzić walkę z burżuazją o naszą włościańską dolę. Drodzy, kochani! Żebyście wiedzieli, jaki jestem rad, że się uczę. Nawet w dni świąteczne nie mam odpoczynku.

Jak przyjdzie jakieś święto, to nie spędzam czasu tak, jak w domu, a zawsze znajdę sobie jakąś pracę. Regularnie chodzę na kółka. W niedzielę często jeżdżę na wieś, gdzie nasz rabfak prowadzi pracę kulturalną. Ponieważ znam dobrze wieś, chcę bardzo dopomóc włościańskiej sprawie. Nasza pomoc wsi polega na tym, że rabfak pomaga prowadzić pracę kulturalno-oświatową na wsi. Posyłamy bezpłatnie książki, gazety do szkół i chat-czytelni. Zbieramy wszystkie skargi na różne nadużycia miejscowej władzy, i czym możemy, dopomagamy tam na miejscu, a skargi oddajemy do gazet.

Życie w Mińsku płynie tak wartko, zdaje się, że bije jak krynica. Ulicami bezustannie cały dzień do późnej nocy chodzą ludzie, pędzą automobile, jeżdżą furmani. Na ulicach pali się światło, elektryczność. Domy tu murowane, dwupiętrowe, a nawet i sześciopiętrowe. W mieście i pod miastem są różne fabryki. Pracuje tam wspólnie po kilkuset robotników. Po ciężkiej pracy (byłem raz na fabryce i widziałem ich pracę i życie)

Idą oni do klubów robotniczych i tam spędzają czas: czytają gazety i książki.

Widzicie, drodzy, kochani, że robotnicy tak samo ciężko pracują, ale potem starają się rozumnie wykorzystać czas, nie tak, jak u nas—na kłótniach, pijaństwie i różnych bijatykach.

Drodzy, kochani! Bardzo już późno: godzina trzecia w nocy. Wszyscy moi towarzysze zasnęli i mocno chrapią. Mnie również spać się chce. Więc o tym, co się dzieje na świecie, napiszę wam innym razem.

Bywajcie zdrowi. Napisz mi, Olesiu, jak się miewacie i co u was słychać.

Przesyłam wam wszystkim swoje rabfakowskie pozdrowienie.

Wasz syn Stefan!“

Michał Boruta zeicha uśmiecha się pod wąsem, a matka Stefanowa ociera łzy radości i żalu.

## VIII

O Stefku i Helence rozeszły się po Zaborcach gawędy. Już wtedy, gdy powróciła ona z Remusowego zakrętu, kilka języków zaczęło o tym pleść. O, jak prędko takie plotki rozchodzą się między ludźmi! Jak gdyby je wiatr do uszu nadmuchiwał! Zdawało się, że nikogo nie było, że nikt ich nie widział, a jednak dokładnie o wszystkim wiedziano: gdzie i kiedy się spotkali, jak kto na kogo patrzył, kto się do kogo uśmiechnął i nawet jak uśmiechnął. Kiedy Helenka dowiedziała się, że o niej i o Stefanie plotkować zaczęto, zawstydziała się mocno.

Nigdy nie przypuszczała, że na jej przyjaźń ze Stefanem ludzie tak właśnie popatrzą. Wszystko to przecie nieprawda, nieprawda! Helenka wiedziała, że czasem chłopcy i dziewczęta kochają się, że istnieje na świecie miłość, nawet w pieśniach o tym przecie śpiewają, ale ona sama uczucia tego nie zaznała, nie rozumiała i znać go nie chciała. Uczucie to dla niej obce, niepojęte... Głupstwo to wszystko!

Helence wyrywa się z duszy protest. Chciałaby głośno krzyknąć tym wszystkim plotkarzom, że iza, kłamia! Bolesnie jakoś zrobiło się Helence, że choć zapłakać.

Wzięła książkę, wyszła na podwórze, koło stodoły w zacisznym miejscu usiadła. Otworzyła książkę, wodzi oczyma po literach, widzi wyrazy, całe wiersze, ale z tego czytania nic jej w pamięci nie pozostaje,—o Stefku дума. Sama nie wie, jak się to stało, że myśleć o nim zaczęła, o ludzkich plotkach przecież na chwilę się zapomina. A zresztą—bierz je licho: czyż to można ludziom języki zawiązać? Najgorsze było to, że dopóki o tych plotkach nie wiedziała, chciała przypilnować Stefana, kiedy będzie z domu wychodzić—za wsią można byłoby go dogonić,—i dać mu na drogę maleńki bochenek chleba i te trochę pieniędzy, które zaoszczędziła na wszelki wypadek. Ale czyż teraz pójdzie? Nigdy! Złość ją wzięła na Stefana—z jego powodu tyle nieprzyjemności ma, nie żal jej więc go ani trochę. Naodwrot—patrzeć na niego nie chce!

Hela zna takie miejsce w swej zagrodzie, skąd dobrze można widzieć Stefanową chatę, samej nie będąc widzianą. Pomimo swego gniewu na Stefana, idzie na to miejsce. Poprostu zaciekawia ją to wszystko. Przed chatą zebrawi się tam ludzie. Helenka chciwie, ale napróżno stara się ułoić słowa—nic nie słycać. I nagle serce Helenki, pomimo jej woli, uderzyło mocniej: z chaty wyszedł akurat Stefan! Idzie bez niczego, idzie śmiało z wysoko podniesioną głową. Zuch jednak chłopak! Chwila—i postać Stefana niknie z oczu Helenki. Teraz już go stąd więcej nie zobaczy. Serce Helenki ścisza się z bólu. Przypomniał jej się wiersz, który czytała Stefanowi. Niedawno przecież przyznała mu się, że wiersz ten napisała specjalnie dla niego... I tutaj zapłatała się Helenka w swych rozważaniach. Gdzież więc prawda? Czemu wierzyć? Nie kłamała przecie Stefanowi, układając dla niego ten wiersz... I poco go układała? Poco czytała? A co najgorsza: poco było jeszcze mówić?

Złości się Helenka na siebie, aż palce sobie przygryza, a nakoniec zapłakała nawet. Głupia ona, ach, jaka głupia! Śmiać się z niej będzie Stefan: czyż to *im* można wierzyć? Oszukańcy z nich, kłamczuchy!.. Gdyby tylko wiedzieli chłopcy, co myślała o nich teraz Helenka, napewno obraziliby się na nią.

Ludzie rozeszli się z przed Borutowej chaty. Czas jakiś stała jeszcze Helenka w ukrytym miejscu swego obejścia. Widziała, jak wybiegł z chaty Oleś z pełną białą torebką. Oleś pobiegł szybko, a w ślad za nim wyszła i matka Stefana. Zatrzymała się koło furtki, spogląda w tę stronę, gdzie pobiegł Oleś i cichaczem łyży obciera.

— Matka chleba posłała,—pomyślała Helenka i poweselała, bo i ona miała taki zamiar. Ale czy Oleś go dogoni?

Szybko wyszła Hela ze swej kryjówki i poszła ścieżyną w pole: może stamtąd zobaczy drogę. Ale nie, ani drogi, ani Stefana, ani Olesia nie widać. Napróżno tylko nogi trudziła. Obejrzała się dokoła: na polu tu i ówdzie były kobiety. Zdawało jej się, że się domyśla, poco ona w pole wyszła, i jeszcze więcej gadać będą. O, przepraszam: wyszła ona poprostu na ogród, aby zielska narwać. I rwie Helenka zielsko, a sama myśli o Stefku... Mówcie, co chcecie, a chłopak z niego chwackił!

## IX

Skończyło się lato. W początkach jesieni wyjechała Helenka do Zagórza. Ostatni to rok nauki. Rozpoczęła się robota w szkole, i czas mijał szybko. Niepostrzeżenie zbliżały się wakacje zimowe. Helenka nic nie wiedziała o Stefku. Gdzie jest? Co sie z nim dzieje? Widać, nie dobrego, kiedy do tej pory nie dał znać o sobie. A może poprostu nie chce nic o niej wiedzieć, zamieszkawszy w mieście. Czyż mało ma tam przyjaciół i wśród chłopców i wśród dziewcząt? I znowu przypominał się Helence jej wiersz. Przykro zrobiło się dziewczynie. Ale kiedyż to było? Była wtedy jeszcze całkiem głupia. O mieś-

cie jednak bardzo pragnęłyby się dowiedzieć. Prawdziwą naukę można poznać tylko w mieście. A któż, jeśli nie Stefan, mógłby jej opowiedzieć o życiu miejskim, o nauce? Wysyłając list do domu, chciało się Helence zapytać o Stefana, ale wstyd jej jakoś było, bo jeszcze w domu miała o nim z matką rozmowę. Prawda, zartem opowiedziała jej matka to, o czym sama od ludzi słyszała, o ich kochaniu. No, a gdyby i tak? Nie kradzione to przecie, a słabość taka chodzi po ludziach. A że się za Helenką oglądają, to cóż w tym dziwnego? Nie bójcie się, nie za każdą oglądać się będą. Jednym słowem, matka popatrzyła na to bardzo prosto, a potem odrazu przeszła do tonu poważnego.

— Ale jednak, córuchno, szanować się trzeba, o! A szczególnie teraz, kiedy taka rozpusta między ludzi poszła.

Dla potwierdzenia faktu tej rozpusty, matka opowiedziała Helence kilka przykładów. Przykłady były żywe, bliskie, znane powszechnie: Anetka Szarkunowych, Nastka Żuk. Pobawili się i rzucili, jak ogryzione kości, z małenstwami na ręku. Co mają teraz począć? Nie wyprocesowały nic, bo okazało się, że te łajdaki nie mają nic, chociaż przy gospodarkach mieszkali—wykręcili się. A kogo winić? Same sobie winne. Tak to uczą głupich.

— Muszę cię uprzedzić, córuchno. Już nie małeńka jesteś: za rok, drugi sama zamaż pójdziesz.

Helenska poczerwieniała ze wstydu i oczy w dół spuściła.

— I nie myślę ja nawet nic o zameżciu,—odpowiedziała niezadowolona.

— Wszystkieśmy tak w swoim czasie mówiły, a myślałyśmy tylko o tym, jakby najprędzej wyjść zamaż.

Dlatego to właśnie Helenska nie odważała się wspomnieć o Steku w liście, i spodziewała się czemuś, że Stefek sam do niej napisze. Tak się też stało.

Kiedy Hela spojrzała na zmiętą kopertę—niemałą widocznie drogę musiała odbyć—serce jej zatrzepotało, jak ptak

w klatce, a policzki splonęły rumieńcem. Właśnie wychodzili ze szkoły. Zazwyczaj w takich wypadkach Helenka niezbyt się spieszyła: powoli składała książki i kajety, ubierała się, albo na którąś z towarzyszek czekała, aby razem wyjść ze szkoły i pogadać o tym, co w tym dniu najbardziej było godne uwagi. Czasami i chłopcy się do nich przyłączali, bo byli tacy, co lubili już pozartować z dziewczętami i tak, czy inaczej uchodzić za kawalerów. A dziewczęta, jeśli już prawdę powiedzieć, nie pozostawały głuche na te zaloty. Pozornie złościły się, protestowały, niby to stroniły od chłopców, ale pocichu śledziły ich i rade były, kiedy je żartem któryś z chłopców trąci, uściśnie, albo inny jakiś kawał wywinie... Przyjemnie przecie czuć, że ludzie na ciebie uwagę zwracają.

Dzisiaj jednak starała się Helenka wyjść jak najprędzej i nępostrzeżenie, aby pozostać samej. Nie, nie samej, ale z listem Stefkowym! Biegnąc do domu, spoglądała kilka razy na kopertę, ale dopiero w domu ostrożnie ją otworzyła. Na sam początek i na koniec listu spojrzała. A na samym końcu stało „Stefan Boruta“.

Z niezwykłym wzruszeniem zabrała się Helenka do czytania. List był napisany starannie. Widocznie Stefan wiele nad nim myślał. Największą trudność dla Stefana stanowiło znalezienie odpowiedniego zwrotu: jak nazwać Helenkę? „Towarzystwo“—to było zbyt nieokreślone. Napisać «druhu»? — tak jednak lepiej zwracać się do chłopców. Napisać chyba „miła Helenko“? A może lepiej «droga Helenko»? Tutaj stanęło przed Stefanem pytanie: które z tych słów brzmi bardziej szczerze i serdecznie—«miła» czy „droga“? Bliższa sercu jest chyba „droga“. Ale tu nowa wątpliwość — nie można przecie pójść śladem zakochanych pustogłowów, niewolników miłości, bo żadnego zakochania Stefan nie odczuwa, a poprostu przyjaźń do swej swojaczki, z którą związało go życie w domu, bliskie sąsiedztwo i różne wspólne sprawy, które miały i ma-

ją związek z ich nauką. No, a pozatym Helenka jest naogół dzielna dziewczyna. Nawet taki piękny wiersz dla niego napisała. Nareszcie znalazł Stefan taki kompromis:

„Droga sąsiadko, miła towarzyszko, Helenko!

Bardzo chciałbym wiedzieć, jak ci się powodzi, a także jak się posuwa twoja nauka. Dlatego więc piszę do ciebie. Możesz nawet nigdy nie przypuszczać, że przyślę ci list i zapomniawsz już, jak pożegnaliśmy się ostatnim razem. No, ale przecież kiedyś uczyliśmy się razem i teraz uczymy się, chociaż w różnych szkołach, i wszystko bardzo chciałbym wiedzieć. Jeszcze wtedy, gdy porzuciałem dom, obiecałem ci, że napiszę do ciebie. Miałem zamiar napisać, skoro przyjechałem do Mińska, ale potem odłożyłem, dopóki nie wyjaśni się sprawa mego przyjęcia.

Żeby opisywać wszystko po kolei, to trzeba by bardzo wiele pisać. Wszedłem wtedy sam i smutno mi się jakoś zrobiło szedłem przecie do nieznanego miasta, gdzie wszyscy mi obcy. Do pierwszej stacji przeszedłem pieszo, zanocowałem na niej, a stamtąd pojechałem na darmochę koleją. Przypadkowo poznałem się z jakimś dobrym zwrotniczym i on wsadził mnie do pociągu. Naogół udało mi się. Egzaminy zdałem dobrze i łatwo, jak pluć, bo umiałem znacznie więcej, niż wymagają przy wstąpieniu do rabfaku. Ale zdać egzamin, to jeszcze nie znaczy—być przyjętym: przyjechało nas cztery razy więcej, niż można przyjąć. I mnie nie przyjęto. Gorko mi było. Co począć? Poszedłem do wyższej władzy do „Gławprofbru“ i tam trochę hałasu narobiłem, biłbym się wprost, bo stanąłem przed gołym faktem—być albo nie być. Ma się rozumieć, nie moja zawadjackość mi dopomogła, ale moje położenie wypędzonego z domu, — a za co? wiesz sama. Przyjęto mnie na rabfak powyżej normy, a potem wszystko ułożyło się i zostałem zapisany jako rzeczywisty student, dano mi dwaście rubli stypendjum i mieszkanie.

Nie wiesz nawet, Helenko, jak jestem rad, że się uczę. Ja nie nie umiałem, idąc szukać nauki, i teraz jeszcze wielu rzeczy nie umiem, ale czuję, że wzrok mój się przejaśnia, że otwiera się przede mną nowy całkiem świat; i wszystko to, co przesuwało się przed moimi oczyma, co nie przykuwało do siebie mojej uwagi, albo zwracało ją w inną stronę, teraz staje przede mną w nowym świetle, nabiera innego całkiem znaczenia i charakteru. Dowiedziałem się już teraz o roli proletariatu w rewolucji i o jej roli przy wprowadzaniu nowego ładu i nowego życia. Coraz bardziej i bardziej staje się jasny mój pogląd na siebie samego, jako na jednostkę kolektywu społecznego. Naogół, Helenko, radzę ci szczerze zwrócić większą uwagę na społeczeństwo, czytaj gazety, ale trzeba je jeszcze i umieć czytać.

Ty w tym roku skończysz siedmiolatkę. Co będziesz robić później? Czy myślisz skończyć na tym, czy uczyć się dalej? Zadawałniać się siedmiolatką nie wypada, bo ona mało daje. Trzeba przebijać się do wyższej szkoły, aby zabrać się do nauki jak należy. Ja myślę po skończeniu rabfaku przejść do uniwersytetu. Trzeba dobrze „przegryźć granit nauki“, aby być w życiu pożytecznym. Jeśli dobrze się przygotujesz, to i ty możesz się tam dostać. Nie trzeba tylko zbyt pośpiesznie wychodzić zamaż. U nas uczy się tu wiele dziewcząt. Są różne. Wśród naszych rabfakowców są różni ludzie: i młodzież, i ludzie poważni, z brodami. Są i żonaci, a niektórzy tu się żenią i zamaż wychodzą. Ja uważam, że to są rzeczy niepotrzebne. Jeśli nauka, to nauka.

Czasu wolnego mam mało. Wiele czytam, nigdzie prawie nie bywam. Mieszkamy w internacie, w osobnych pokojkach. Wydajemy gazetę ścienną. I ja dałem tam kilka swych artykułów. Najbardziej interesuje mnie „nasz byt“, a więc do tego działu pisuję. Trzeba ci jeszcze powiedzieć, że poetów namnożyło się teraz jak komarów w błocie. Razem ze mną mieszka



Również jeden poeta. Dziełny chłopak i bardzo przyjaźniwy się ze sobą. Jedyna jego wada—że jest poeta. Poezji swych nie nadużywa jednak. Kiedy nie ma za co kupić papierosów, to powiada: „Trzeba, bracie, wiersz napisać—niema co palić“. Poezje pisuje dlatego, że za wiersze drożej płacą, i wiersz, jak on powiada, łatwiej napisać. O naszym życiu napiszę ci, skoro tylko odpowiesz na mój list. Za poetów nie gniewaj się na mnie, bo mi zupełnie wypadło z pamięci, że i ty pisujesz wiersze. Zbyt wiele jednak fabrykują tego towaru...

Ja często, Helenko, wspominam ciebie...

No, bywaj zdrowa. Pamiętaj, że musisz wiele się jeszcze uczyć. Jak przyjedziesz na wakacje zimowe, wstąp do moich. Ja chyba nieprędko do nich przyjadę.

Wszystkiego najlepszego. Stefan Boruta“.

Kilka razy przeczytała Helenka ten list. Podczas czytania chwilami było jej przyjemnie, to znów gorzko i przykro. A z temi wierszami było tak, jak przypuszczała Helenka—wyśmiała ją Stefan. Długo rozważała Helenka, czego jest więcej w liście Stefana, dobrego czy też złego dla niej, odpisać mu na list czy też nie?

## X

Wśród towarzyszy swych Stefan wyróżniał się swą pilnością w nauce, swą stałością i powagą. Za to przewano go tu drugim Lomonosowym, tymbardziej, że nie obawiał się przejść sto wiorst piechotą, aby wstąpić do rafbaku. A jemu przecie nic nie pozostało, prócz nauki. Nauka pociągała go, przyswajał ją łatwo. Pamięta on o wszystkich trudnościach drogi, która go tu przywiodła, i jaką to odpowiedzialność wziął na siebie, porzucając ojcowski dom. Nie zapomina on i słów tych, które rzucił ludziom, wychodząc ze swej chaty: „budować nowy zrab do nowego źródła“. Stefanowi samemu podobały się te słowa, a co najważniejsza, wyrwały mu się one same przez

się, nieobmyślane. Trzeba dowieść wszystkim, że on słów swoich na wiatr nie rzuca, a jeśli myślą o nim ludzie, że on—odszczepieniec, że pociechy z niego nie będzie, to się omylą. Oprócz tego wszystkiego, warunki, w których żył, zadawałniały go: jest tu rozpęd dla nauki, można czysto chodzić i nie być głodnym. Pościel miał taką, jaka mu się w Zaborcach chyba tylko przyśnić mogła.

Stefan był trochę dziki i zamknięty. Stał jakby trochę na uboczu od towarzyszy i bacznie przyglądał się wszystkiemu, co działo się przed jego oczyma. Uwagę jego przykuwał przede wszystkim ich byt uczniowski, a zwłaszcza stosunki wzajemne między chłopcami i dziewczętami. Stosunki te były proste całkiem i zwyczajne. W czasie przerw na korytarzach i w audytorjach wszyscy razem hałasowali, gonili jedni drugich, dokazywali, jak to zwykle młodzież. Inni chodzili parami z dziewczętami, wzięwszy się za ręce, czy „pod rękę“, czy też wprost obejmując się. Stefana dziwiła ta prostota i naturalność, ale on sam nie odważyłby się przejść tak z dziewczyną, jak to robili jego towarzysze—chłopcy, bo widział w stosunkach tych coś niezupełnie koleżeńskiego; chociaż jedni i drudzy starali się usilnie nadać tym stosunkom charakter koleżeński, to jednak poza koleżenością kryło się coś innego.

Czasami i Stefek ze swym przyjacielem Szymonem Gałyzą, tym poetą, o którym pisał do Helenki, wychodzili na korytarz. Było dla niego rzeczą ciekawą pokręcić się tutaj, poczynić pewne obserwacje, aby mieć materiał do gazety i sprawdzić niektóre swe spostrzeżenia. Zwrócił uwagę na jednego ze swych towarzyszy.

— Patrz, patrz!—tracił Stefek łokciem przyjaciela swego Szymona, pokazując oczyma na Szulewicza,—zakręcił się już koło Ninki, jak giez koło końskiej mordy.

Ze wszystkich dziewcząt swego kursu Ninka cieszyła się największym powodzeniem u swych towarzyszy—chłopców. Pod

tym względem i Szymon nie był święty: ułożył dla Niny dwa wiersze i sam lubił dokoła niej się kręcić.

— Nie zazdrosny jesteś, Szymku? Patrz, jak Ninka przytuliła się do niego!

— Gdybym zechciał, to poszłaby jutro ze mną do „Zagsu“.—I ręką musnął Szymon to miejsce, gdzie powinny być wąsy, ale ich tam jeszcze nie było.

— Ale z Szulewiczem to poszłaby napewno i dzisiaj,—drażnił go Stefan.

Szymon nic nie odpowiedział, bo właśnie spotkali się z tą parą. Szulewicz ogarnął ich surowym i dumnym spojrzeniem, w którym malowało się: „Co to ja!“ Ninka prześlizgnęła się swemi wesołemi oczętami po twarzy Stefana i nawet leciuchno uśmiechnęła się doń. Szymon to widział. Wyminąwszy ich, odpowiedział na uwagę Stefana:

— A mnie to ani ziębi, ani parzy.

Brwi jego ściągnęły się jeszcze niżej, a po twarzy przeleciał cień. Stefan to spostrzegł i rozmowę skierował na inny temat. Właśnie rozległ się dzwonek. Poszli do sali wykładowej. Na lekcji literatury, jak i na innych lekcjach, studenci siedzieli grupami i opracowywali tematy według planu Daltona. Szymon zauważył, że Szulewicz przykleił się do tej grupy, w której była Nina. Stefan siedział pośrodku między Szymonem i Michałem Drabakiem, sumiennie i poważnie zaznajamiał się z treścią zadania. Szymon słuchał, ale mało co pojmował, bo uwaga jego skierowana była na Ninę i Szulewicza. Szulewicz z miną profesora dawał Ninie wyjaśnienia. Chwilami jednak profesorska powaga znikwała z jego twarzy, i spoglądał wtedy na Ninę jak na dziewczynę; czasem przyciskał się do niej mocniej, aby odczuwać jej bliskość swym ciałem. Nina czuła się trochę niezręcznie i czyniła wysiłki, aby się odsunąć.

— Odsuń się!—cicho powiedziała do Szulewicza.

Szulewicz popatrzył na nią ciemnymi oczyma. Nince zrobiło się nieswojo od tego spojrzenia.

— Cóż to za mieszczaństwo, Ninol!—z wyrzutem szepece chłopiec: —pora się już wyzwolić z tych burżujskich poglądów. Czyś ty w instytucie dla wysokourodzonych dziewcząt? I kim masz zamiar być: lalką, zabawką w ręku męża, czy też myślisz pracować dla dobra proletarjackiej rewolucji? Czyśmy towarzysze, czy nie? Czy też może ci nieprzyjemnie być towarzyszką rewolucjonistą?

Protest Ninki znika. Siedzi, milcząc, ramię przy ramieniu. Nawet tak wcale nienajgorzej. A on jest przecie sekretarzem „fabkomu“ i cały oddany rewolucji. Dlaczego ona ma nie być towarzyszką rewolucjonistą?

I siedzą oboje spokojnie. On położył rękę na jej nodze powyżej kolana.

— Myśmy towarzysze, my—dzieci proletarjatu,—szepece Marcin,—tyś dziewczyna i moja towarzyszka. A tak przyjemnie przecie odczuwać bliskość swego towarzysza-dziewczyny!.. Do diabła z burżuazyjną etyką!

Nina czerwieni się. Ale on jest taki rozumny i tak dobrze orientuje się w sprawach proletarjackich! Doprawdy, jak wiele jeszcze w życiu mieszczaństwa. Trzeba z nim walczyć.

Szymona porywa zazdrość. Złości się na Ninę, że tak blisko przytuliła się do Szulewicza. Zapomniał jednak, że kiedy sam tak siedzi z dziewczyną, to czuje się wtedy bardzo dobrze. Ale o tym, naogół, mało kto pamięta i rzadko kiedy bierze pod uwagę.

Wykład skończył się. Z sali zaczęto rozchodzić się do domów. Gwarną falą wypłynęła rabfakowska brać, spieszą wszyscy ku wyjściu na schody. Rozpycha się, szumi, żyje. Wesoła, zuchowata Nastka Czyeczka, tęga, o męskich ruchach, jak burza naleciała na wątlęgo Michała Drabka, schwyciła go pod pachy, zepchnęła z drogi, i sama biegnie dalej, chwytając się za

poręcz, aby po niej prędzej zjechać na dół. Wykręciwszy się jak bąk, zręczny Drabak dogania Nastkę, zarzuca jej ręce na plecy, siada „na barana“ i Nastka przy akompaniamencie wybuchów śmiechu i krzyków piorunem zjeżdża z nim na dół.

— Ot, przejechałem się—lepiej niż autobusem,—śmieje się Drabak i pokazuje rząd białych zębów.

Szymon zajmuje odpowiednią pozycję, aby zagarnąć Ninę. Nina wychodzi, jakgdyby czymś zakłopotana, ze spuszczonei oczami. Szulewicz idzie za nią, ale go chłopcy odcisnęli. Z tej sposobności korzysta Szymon. Chce boleśnie dotknąć Ninę.

— No, jak, Nino, zadanie? Dużo zrobiłaś?

— Tak, trochę przeczytałam.

Nina czuje, że Szymon ma kości pełne złości i trochę się domyśla jej powodów.

— No a Szulewicz bardzo mocny w literaturze?

W tym pytaniu już jawne drwiny. Widać je i na twarzy Szymona. Ninę ogarnia zmieszanie. Szymon dobry chłopak. Ale Szulewicza lęka się ona jakoś. Nie czekając jej odpowiedzi, Szymon złośliwie dodaje:

— Studjowaliście romantyzm i literaturę miłości praktycznie według metody rękodzielniczo-laboratoryjnej?

Nince robi się przykro. Dlaczego oni ją zaczepiają? Czym ona tu zawiniła? Nina daje nurka w tłum, aby prędzej dobiec do domu i pozostać samej. Do djabła z nimi wszystkimi! W mieszkaniu Nina przegląda się w lusterku, poprawia włosy, ręką brwi przygląda i jeszcze raz przygląda się sobie—niebrzydka dziewczyna!

## XI

Szymon również zrobił przegląd swej urody. Co w nim ładnego? Włosy ma śliczne: kędzierzawe, koloru kasztanowatego, w pierścieniach wiją się na głowie. I czoło piękne—otwarte,

szerokie. Takie czoła miewają ludzie rozumni. Oczy również niczego,—szare, surowe, i co najważniejsza—widać w nich myśl. Szulewicz ma ciemne oczy: zapewne i duszę ma ciemną. Już szare oczy lepsze: to najodpowiedniejszy kolor oczu dla mężczyzny, i wszyscy znakomici ludzie na świecie mieli szare oczy. Z nosem—jest gorzej: nie to, żeby był za duży—przygruby nieco i w górę zadarty. No, ale zdarzają się przecie i gorsze, usta umiarkowane, ale zato górna warga nieco na dolną załazi. Próbuje Szymon dolną wargę wysunąć trochę naprzód. Jeszcze gorzej: usta jak trąba. Okazuje się, że lepiej już tak, jak jest. Wreszcie przyszedł Szymon do przekonania, że chłopak z niego przystojny. A Ninka niechaj nie myśli zbyt wiele o sobie: tysiące takich Ninek znajdzie się.

Szymon chowa się w zacisznym kątku, bierze ołówek i wyrzywa z kajetu arkusz papieru. Myśli o czymś, położywszy ołówek na wargach, i pisze:

A u Niny piękna główka,  
Czerwoniutka jak makówka...

Nie, to do niczego—tak można napisać z dobrego serca, a Szymon chce powiedzieć coś innego. Przekreśla te dwa wiersze i zaczyna z początku, myśli i zapisuje:

Na rabfaku Nince  
Zmierzono gorączkę.  
— Do 40 stopni!—  
To ci ma bolącz'ę.

Szymon zatrzymuje się. Złowił się na brzydkim uczynku. Poco to robić? Cóż ona zrobiła, aby tak o niej pisać? I to jeszcze—komsomolec, a gorszy od jakiegoś mieszczucha!

Szymon rwie na drobne kawałki zapisaną kartkę. I w rezultacie—przykre uczucie. Ale będzie sam na siebie uważał, bo przecie Nina—człowiek i towarzyska. Po towarzysku trzeba się do niej stosować. To go uspokoiło i myśli jego zwró-

ciły się w innym kierunku. Ma ochotę napisać cośkolwiek, rozproszyc swój nastrój, pokazać się, ujawnić swoje „ja“. Rodzi się pytanie: warto pisać czy nie warto? Należałoby poradzić się z kimś. I w głowie Szymona powstaje plan—trzeba się zapoznać bliżej z organizacją młodych poetów, wstąpić do niej. Ale dla tego trzeba mieć w rękę coś, z czym możnaby przyjść do ludzi. Więc pierwsze zadanie—napisać, napisać taki utwór, aby od razu poznać można było, kim jest Szymon Gałyza. A wtedy słuch o nim rozniesie się, jako o wybitnym młodym poecie. Wszyscy zwrócą na niego uwagę.

Wszystko to porywa Szymona. Zahuczał, zaszumił w nim wir. Kręcą się myśli i obrazy jak śnieżne płatki podczas zawieji; trudno je powstrzymać, podporządkować swej woli, skierować na właściwą drogę i nadać im określoną formę. Ale Szymon nieświadomie podporządkowuje się jakiemuś rytmowi, którego nawet nie spostrzega. Pragnie wezwać ludzi do wielkiej, nowej pracy, i cały czas kręci mu się na języku „hej“. Szymon nic nie widzi dokoła siebie, oczy jego błyszczą, spoglądając w jeden punkt, wreszcie chwyta ołówek, papier i pisze:

Wolny przekład

Hej! Październik skiby ryje,  
Miljon skib—wspaniały giest  
Więc wychodźmy wszyscy wspólnie  
Jest tu przestrzeń, rozmach jest.  
Hej! do pracy twórczej wszyscy,  
My, gromada—jeden mąż!  
Zagrzmij pieśnią!—Hymnem walki  
Setki piersi—w jedno zwiąż.  
Niech na cały świat zasłynie  
Robotniczo-chłopski stan,  
Jak na cztery wiatry poszli  
I obłuda i sam pan.  
Darmozjadów nam nie trzeba!  
Dróg powrotny nie znać nam.

Łud nasz zaznał, co swoboda  
I do nowych poszedł bram.  
Więc do pracy wszyscy społem  
Wychodź sam i rzucaj zew—  
Zbudujemy tu pałace  
Nie wzywając świętych dziew.  
Hejże! dźwięcznie grajcie struny!  
Porzucimy stary ład!  
Zbudujemy dom komuny  
Nowy dom na cały świat.

Pisząc, Szymon płonał cały czas jak w gorączce. Szybko poprawiał tekst, zmieniał słowa, wyrazy, wykreślał całe strofy. I wtedy dopiero, gdy wiersz był już napisany, Szymon - artysta usunął się, ustępując miejsca Szymonowi - czytelnikowi i krytykowi. Czytelnik-krytyk był zadowolony.

Podobało mu się zwłaszcza to «hej»: „Hej do pracy twórczej! wszyscy, My, gromada—jeden mąż!“ «Hejże! dźwięcznie grajcie struny!» Pierwszy wiersz—„Hej! Październik skiby ryje!“ był jakgdyby niezupełnie gładki, bo to «hej» było tu trochę nie na miejscu. Ale i tę niewielką chropowatość Szymon usunął, usunął bardzo prosto: cały wiersz jego przechodzi pod znakiem «Hej!». Więc i nazwał go «Hej!» Zupełnie dobrze. Przeczytał Szymon jeszcze raz swój wiersz—dobrze! A gdyby go tak przedeklamować? Wyszłoby jeszcze lepiej. Stosownie do ewolucji praw autorstwa pojawiła się teraz u Szymona mocna chęć przeczytania swego utworu komukolwiek, aby posłyszeć zdanie prawdziwego słuchacza — krytyka. W pokoju był tylko Stefan. Założywszy w tył ręce, Stefan chodził z jednego kąta w drugi. Widocznie myślał o czymś. Często napadało na niego takie zamyślenie. Szymon spogląda na Stefana, jakby czatując na chwilę, kiedy najlepiej będzie go zaczepić. Stefan mimo-woli podniósł oczy na Szymona.

— Chodź tu, Stefanie!

— No?—Stefan zatrzymał się koło Szymona i czekał.



— Posłuchaj trochę. Ja wiem, że ty nie lubisz poezji, ale posłuchaj.

— No,—znowu powtórzył Stefan, gotów do słuchania.

Szymon wziął kartkę papieru i z energią zadeklamował: «Hej»!

Przeczytał swój wiersz z takim samym natchnieniem, z jakim go napisał. Skończył i oczu na Stefka nie podnosi, czeka, co on powie. Powaga znika z twarzy Stefana.

— O, to rozumiem—wiersz!... Dobrze, dalibóg dobrze!

Szymon rozjaśnił się.

— Więc mówisz, dobrze?

Zamiast odpowiedzi Stefan wesolo mówi:

— Ano, przeczytaj go jeszcze raz!

Śmielej i z większym jeszcze zapalem zadeklamował Szymon drugi raz.

— Skądżeś ty wymyślił, że ja poezji nie lubię? Prawdziwą poezję wszyscy lubią, i ja ją lubię. A twój wiersz jest sto razy lepszy od setek innych, które drukują.

I Stefan zaczął sam deklamować niektóre strofy, zmieniając trochę ich tekst:

Niech na cały świat zasłynie  
Robotniczo-chłopski stan  
Jak na śmiecie od nas poszli  
I obłuda i sam pan.

— „Jak na cztery wiatry poszli“,—poprawił Szymon.

— No, to wszystko jedno: śmiecie właśnie z wiatrem latają... Nie, bracie, to udany wiersz!... Szymku! powiedz ty mi ot co. To będzie nawet w związku z wierszem. Czy nie zastanawiałeś się kiedy nad tym, że my zanadto dużo gadamy?

— Jakto—dużo gadamy?

— Ano tak: słów u nas za dużo. Gdziekolwiek pójdziesz, wszędzie słyszysz tylko przemówienia. Jedno jakieś słówko

pociąga za sobą tysiące innych słów. Słowo na słowie jedzie i słowem pogania. Tworzy się jakaś gimnastyka słów, «słowo kultura».

— A czyż to źle? Ludzie się składnie gadać nauczą. A kto dobrze mówi, ten potrafi dobrze wyłożyć myśl swoją.

— Aby wypowiedzieć mądrą myśl, nie potrzeba wielu pięknych i zawilych frazesów.

— A ja jednak nie rozumiem, co ty chcesz powiedzieć? I jaki to ma związek z moim wierszem? To mnie najbardziej zaciekawia.

Stefan spuścił na chwilę oczy, jakby zastanawiając się, powiedzieć czy nie, albo jak to powiedzieć, a potem spojrzął na Szymona.

— Chciałem ci to powiedzieć. Mnie się wydaje, że zza słów my nie widzimy żywej roboty, prawdziwego czynu. Gadatliwość zaś uważamy za tę właśnie robotę. A teraz o twoim wierszu. Wiersz, stanowczo, dobry. Ty wzywasz w nim wszystkich do dzieła, do pracy, wzywasz do budowy «domu komuny». Bardzo dobrze. No, ale powiedz mi, od czego ty myślisz zacząć budować ten dom?

— Jakto, od czego? Przedewszystkiem, należy rozpowszechnić ideje komunizmu wśród szerokich warstw ludności, trzeba dowieść korzyści i przewagi życia kolektywnego nad życiem indywidualnym, trzeba budzić, podnosić szerokie masy, czynić je politycznie świadomymi... Czyż to mało roboty na początek?

— Zajmować się propagandą? Gadać, gadać bez końca?— zapytał Stefan.—Dobrze, ja jednak myślę, że byłoby jeszcze lepiej, gdyby i ci, co gadają, od słów przeszli do czynów.

— I przechodzą.

— Przechodzą, ale mało. Ot co, Szymonie. Latem pojedziemy gdziekolwiek na wieś. Przeczytamy tam najpierw twój wiersz, a potem weźmiemy się do pracy. Opowiem ci, do jakiej pracy.

I Stefan przedłożył tutaj program swej pracy.

## XII

Nina Rolnicka była spokojną i staranną dziewczyną, ale nauka szła jej niełatwo. Być może, wskutek swego słabego przygotowania. Skończywszy trzy klasy gimnazjum, zarzuciła już oddawna naukę. Miasteczko powiatowe, gdzie mieszkała i uczyła się Nina, zajęli Niemcy. Trzeba było opuścić miasteczko i przenieść się na inne miejsce. W czasie okupacji polskiej zmarł ojciec Niny, rzemieślnik z zawodu. Już przedtym życie szło im ciężko, a teraz zrobiło się jeszcze cięższe. Razem z matką rzucali się tu i ówdzie, starały się, aby tylko z głodu nie umrzeć. Różne sposoby wypróbowały: i przędły, i pończochy robiły, i szyły, i prały dla ludzi. Kłopotów i pracy było wiele, pożytku jednak mało.

Chciała Nina trochę się pouczyć, przebić się na szerszą drogę, nie pozostać w tyle poza życiem. A to nowe, młode życie biło krynica na każdym kroku. Młodzież żywiłowo garnęła się do organizacji, aby gromadą zwartą, wytrwałą wykarzcować sobie szeroką drogę. Matka nie czyniła swej Ninie żadnych przeszkód—niechaj idzie na swój chleb, niechaj wyjdzie na ludzi, a ona sama jako tako będzie się przebijać i młodsze dzieciaki hodować. W domu pozostała matka, dwaj młodszy bracia i siostra.

I Nina poszła uczyć się do rabfaku. Nauka, kółka studenckie, organizacje, żywa praca, życie towarzyskie,—wszystko to było dla niej nowe i pociągające. I życie tutaj nie zamykało się tylko w granicach rabfaku. Referaty, odczyty, wygłaszane przez tych lub innych znanych i wybitnych lektorów, zjazdy, sądy pokazowe, dyskusje—wszystko to było dostępne dla uczącej się młodzieży. Były to te kuźnice, w których wykuwały się podstawy nowego bytu i formowali się budowniczyowie nowego życia. W wolnych chwilach można było i do teatru pójść, lub do kina zajrzeć, albo też na swój studencki wieczorek. A wie-

czorki takie odbywały się często. Z biegiem czasu koło znajomości z nowem ludźmi rozszerzało się, gdyż młodzież nie lubi siedzieć na miejscu. Ale jednocześnie z tym wzrastała i potrzeba świeżych i nowych wrażeń i zabaw. To, co pociągało wczoraj, dziś traciło już swój powab, przejadalo się.

Dnia tego Nina obudziła się wcześniej, chociaż położyła się spać dosyć późno: wieczorek skończył się już dobrze po północy. Można byłoby przespać się jeszcze, bo dzień był wolny. Ale pomimo największych wysiłków Nina nie mogła zasnąć. Głowa ciążyła jej ołowiem. Towarzyszki jej—Hanka Budajówna, Róża i Fania spały mocno.

Nina ostrożniutko wzięła lusterko i przejrzała się. Twarz miała zmęczoną i bladą. Pod niebieskimi oczyma malowały się sine podkwy, usta były spalone. Nina przesunęła ręką po wargach i natarła je, aby choć trochę poczerwieniały i ożyły. Postawiła lusterko na miejsce, założyła ramiona pod głowę i leżała nieruchomo. Przed oczami jej przesunął się cały program wczorajszego wieczoru: referat, ustna gazeta i zabawy. Część oficjalna wieczoru zajęła wiele czasu i wieczorek zaciągnął się dlatego. Znudziły się już te referaty, tak jak kiedyś nabożeństwa. Nowego w nich bardzo mało. Po czterdzieści razy wszyscy je słyszeli, nikogo one nie interesują, ale nikt nie odważy się wystąpić przeciw nim. A może to tak trzeba? Może ona jest poprostu mało świadoma i tej właśnie «mieszczkańskości» ma w sobie dużo? Nina często słyszała to słowo i bała go się jak zarazy. Ale co to jest «mieszczkańskość», na to nie mogła dać sobie jasnej odpowiedzi. Fania, na przykład, znajduje, że porządek, panujący w ich mieszkaniu—to „mieszczkańskość“ i występowała zasadniczo przeciw takiej „przyzycznej“ czystości. „Mieszczkańskością“ nazywał Szulewicz wszelką wstydlivość dziewczęcą. I Nina zaczęła myśleć o Szulewiczu. Chłopak z niego przystojny i rozumny. W zagadnieniach marksizmu orientuje się bardzo dobrze, a kie-

dy wystąpi z przemówieniem, cały aż płonie. A kiedy ci spojrzysz w oczy, to się odczuwa i radość i strach jakiś. W uszach Niny dźwięczą jeszcze jego słowa: „Spędziłbym cały wieczór z tobą, Nino, ale, wiesz, chłopców naszych krępuję się, zacząłbym potym plotki rozpuszczać“. A kiedy wychodzili z wieczorku, poprowadził ją pod rękę i w ciemnym zakątku objął ją tak mocno, że aż dreszcz jakiś, niby ogień, przebiegł po całym ciele. Bezwątpienia, ona mu się podobała. Zerknęła raz jeszcze na swe towarzyski, a potym znów zajrzała do lusterka. Teraz już lepiej wygląda, zmęczenie gdzieś znikło, twarz jak gdyby ożyła i stała się inna.

Nina poleżała jeszcze trochę, myśląc o Szulewiczu. Najrozmaitsze myśli przychodziły jej do głowy. Marzyło jej się nawet, że są oni nietylko towarzyszami na rabfaku, ale i towarzyszami w życiu—mówiąc poprostu: mężem i żoną. I tak dobrze im ze sobą! On, aktywista, kieruje odpowiedzialną pracą społeczną, a ona wśród kobiet robi swoje. A pracy tam wiele. Przed Niną małuje się jej działalność i życie z Szulewiczem. Wśród tych myśli—marzeń sen niepostrzeżenie skleił jej powieki. Przebudziła się dopiero wtedy, gdy ktoś mocno zastukał do drzwi. Dziewczęta już obudziły się, ale nie były jeszcze ubrane.

— Kto tam?—zawołała Fania, a dziewczęta poruszyły się, zaniepokojone.

— Awangarda wszechświatowej rewolucji. Czy można?

Były to głosy chłopców z rabfaku.

Dziewczęta zakrzyczały na wszystkie tony, wyrażając w ten sposób swą obawę, aby tu nie wtargnęli chłopcy. Narzuciwszy spódnice i stukając bosymi nogami, Róża pierwsza rzuciła się do drzwi.

— Nie ważcie się wchodzić, myśmy nieubrane!—krzyczała Róża i naciskała ręką na zasuwkę.

— A to właśnie bardzo ciekawie obejrzeć nieubrane dziewczęta,—żartował za drzwiami czyjś głos.

— Nie można, oślepniecie!

— A ja widzę ciebie, Rózo, przez szparkę i wcale mi nie szkodzi na oczy.

— Mojżesz! ty—chuliganie!—krzyknęła Róza i zatańczyła na miejscu.

Dziewczęta śmiały się tu, a chłopcy tam, za drzwiami.

— A ty, Rózo, jesteś instytucja!—krzyczał swoje Mojżesz.

— Otwierajcie!—naciskali chłopcy, aby wystraszyć dziewczęta.

— Licho was tam nie weźmie, niewielcy z was panowie,  
—krzyknęła im Hanka.

— Panów teraz niema.

— Panowie teraz za drzwiami stoją,—dodała Nina.

Dziewczęta wesoło zachichotały.

— Otwierajcie, pomożemy wam ubrać się!

— Obejdzie się bez was.

Dziewczęta szybko się ubierały, zaścielały łóżka, doprowadzały się do porządku i śmiały się, strzelając wciąż żartami, a chłopcy popędzali je, stukając w drzwi.

— Och, jak wiele jeszcze mieszczańskości na świecie!—posłyszały z poza drzwi.

— I chuligaństwa,—dodały dziewczęta.

— Chodźmy, chłopcy!

Drzwi otworzyły się.

— Aha, przestraszyliście się, abyśmy naprawdę nie poszli,—powiedział, wchodząc, Szulewicz.

Razem z nim był Niczypor Łapik, Mojżesz Piuchus i jeszcze jeden rabfakowiec.

— Jak się macie, dziewczęta!

— Oj, jak tu u nich dobrze!—powiedział Łapik i rzucił się na pościel Hanki.

— Idź precz! Kozłem cię czuć!—podbiegła do niego Hanka i zaczęła go za nogę ściągać z łóżka. Na pomoc jej poskoczy-

ła Nina i we dwie zepchnęły go na podłogę przy głośnym śmiechu całego towarzystwa. Łapik podniósł się na nogi, zła-  
pał pod pachę Ninę i Hankę.

— Ścisłej szeregi, towarzyszki kobiety!—zawołał.

Przez kilka chwil mocował się Łapik z dziewczynami.

— Idziemy do „Zags‘u“?—pokrzykiwał, trzymając je mocno  
wpół.

Róża i Fania nie wytrzymały i rzuciły się na pomoc to-  
warzyszkom. Wszyscy splątali się w jeden kłębek. Dziewczęta  
śmiały się, krzyczały, piszczaly i starały się obalić Łapika.

— Nie daj się, Niczypor!—zachęcali go chłopcy.

Aby się „nie dać“, Niczypor zaczął stosować niedozwoło-  
ne chwyt, łapiąc dziewczęta, gdzie się trafiło. Dziewczyny się  
rozzłościły, przewróciły Niczypora, przydużyły go poduszkami,  
zawinęły w koldrę i z głośnym śmiechem ciągały go po po-  
dlodze, przyciągnęły pod sam próg i rzuciły. Czerwony, roz-  
czochrany wylaż Łapik z pod koldry.

— Oj, Niczypor, Niczypor! Czegoś ty wart?—śmieli się  
z niego wszyscy.

— No i mocne nasze dziewczęta, do pługa zaprzęgać je  
można. Nigdy już zaczepiać ich nie będę.

Gdy hałas się uspokoił, Szulewicz zapytał:

— Kto chce dzisiaj do kina?

— Wszyscy!

Szulewicz dał dziewczętom bilety, a Ninie powiedział, że  
wstąpi po nią wieczorem i zabierze ze sobą, bo więcej biletów  
nie ma. Przeprowadzi ją na swój bilet, czy też inaczej,—no,  
jednym słowem, załatwi wszystko.

Rezultatem tego borykania się Niczypora i wczesnej wizy-  
ty rabfakowców u dziewcząt było humorystyczne opowiadanie,  
umieszczone w gazecie ściennej. Opowiadanie napisane było  
prozą, a kończyło się wierszem.

### XIII

W życiu każdego człowieka są momenty, które stanowią w nim pewien punkt zwrotny, wprowadzają w nowy okres istnienia. Takim momentem w życiu Ninki był właśnie ten wieczór.

W ciągu dwóch godzin siedzieli oboje w kino ramię przy ramieniu, blisko do siebie przytuleni. Nina uważnie patrzyła na ekran, ale czuła, że sąsiad jej, Szulewicz, często zwraca oczy z ekranu na nią i jakoś niezwykle bacznie wpatruje się w jej twarz i w całą postać. Ninka czuła się nieswojo od tego badawczego wzroku. Wiedziała, że nie ekran zajmuje tu pierwsze miejsce, a coś innego, i że to „inne“ przyprowadziło ich tutaj. Czasami i ona odrywała oczy od ekranu i spoglądała ukradkiem na Szulewicza. Jej oczy spotykały się wtedy z jego ciemnymi błyszczącymi oczyma, a na ustach ich rodziły się wtedy wieloznaczące, choć bezdźwięczne uśmiechy. A Szulewicz brał wtedy powoli jej dłoń w swe ręce, potrząsał nią leciutko i pieścił. Nina nie opierała się, a tylko bojaźliwie rozglądała się dokoła, on zaś szeptał jej: „Miła, droga, Ninka“. Ninie wydało się, że spoglądają na nich czyjeś oczy i wciąż strzegą jej pilnie.

Błyszczące oko ekranu mignęło po raz ostatni, pokazawszy słowo „koniec“. Publiczność raptem zaszumiła i hałaśliwie rzuciła się ku wyjściu. Trzymając się za ręce, Nina i Szulewicz, pogrążyli się w ludzkim potoku i wyszli na ulicę. Szymon Gałyza, nie spuszczając ich z oczu, szedł za nimi w pewnej odległości. Poczemu?—na to sam sobie nie mógł dać odpowiedzi. Niezauważony przez nich, łowił chciwie każdy ruch Niny, każdy jej uśmiech... Och, jak nienawidził wtedy swego bardziej szczęśliwego współzawodnika. A Nina?.. Ech, Nino, Nino! zbićby cię teraz i więcej nic. Za co? Za to, że jest mu teraz tak boleśnie i ciężko i znikąd ukojenia. Chciało mu się podejść do nich



i rzucić im jakieś słowo krzywdzące i obraźliwe, któreby im dopiekło. Cóż jednak przez to osiągnie? Nic. Wyśmieją go, i nic więcej, a ukazałby się przez to w najgorszym świetle. Winę przecie ponosi on sam tylko, bo z dziewczętami trzeba się umieć obchodzić—trzeba je brać wstępny bojem, a nie być takim ślamazarą jakim on był. A teraz najlepiej nie dać nawet poznać, co się dzieje w jego sercu. I Szymon raptownie skręcił w inną stronę i zaczął się błąkać po ulicach. Ostry ból poczucia jakiejś straty przyciehl, w głowie rodziły się nowe myśli. Trzeba je przelać na papier dla samego siebie, a wtedy będzie mu lżej. Szymon wrócił do domu.

Nina i Szulewicz znaleźli się na ulicy. Było tu ludno i gwarnie. Był to właśnie rejon, gdzie zbierali się ludzie kawalerskiego pokroju, jak ryby w czasie tarła. Była to miejska giełda miłości, gdzie zawiązywały się, a czasem i rozwiązywały niezupełnie zdrowe stosunki.

— Chodźmy stąd,—rzekła Nina.

— Chodźmy,—zgodził się Szulewicz: tutaj nawet porozmawiać trudno. A pomówić przecie, Nino, musimy.

Głos miał głuchy i jak gdyby zachrypnięty. Skręcili na inną ulicę, gdzie było ciemniej i spokojniej. Przeszli kilkanaście kroków w milczeniu, jakby nie znajdując słów. Nagle Nina poczuła, że jego ręka przycisnęła jej dłoń do piersi. Spuściła nieco głowę i oczy, zrobiło się jej jakoś strasznie: teraz oto powie to, co ją nęciło i przerażało. Jakby w odpowiedzi na ten uścisk przycisnęła również leciutko jego rękę. Szulewicz obejrzał się dokoła. Chwila była odpowiednia. Bez słowa odwrócił głowę i pocałował ją w policzek, pocałował mocno, namiętnie, przeciągle.

— Co robisz?—z przerażeniem w głosie powiedziała Nina:—na ulicy?

— Tym pocałunkiem, Nino, powiedziałem wszystko jasno, prosto, wyraźnie,—po proletarjacku,

I Szulewicz poczuł, że ten ciężar i niepokój, który był w nim jeszcze przed chwilą, znikł bez śladu, a to jej „na ulicy“? wprawiło go w radość: a więc, znaczy się, tam gdzie nikt nie zobaczy, całować ją można!

Trudno było zrobić początek, dalej zaś poszło łatwiej. Znaleźli się w głuchym zakątku. Tam całowali się dotąd, dopóki chęćka pocałunków nie przeszła. I opowiedzieli sobie wzajemnie, kiedy kto kogo pokochał, jak pokochał i za co.

— Kocham w tobie, Nino, twą dziewczęcą cichość, dlatego może, że sam jestem naturą buntowniczą, rewolucjonistą z charakteru. Kocham twój smutek zatajony, i kiedym tylko spojrział na ciebie, powiedziałem: „Ona! To jest ta, która może być moją najlepszą towarzyszką“! Czuję, że tylko ty, ty jedna możesz być tą, z którą ręką w rękę można pójść drogą walki o świetlane ideały komunizmu!.. Nino!..— zmienił ton głosu:— wiele mógłbym ci powiedzieć na ten temat, ale nie chcę stać się podobnym do burżuazyjnych ideologów, żeby nie powiedzieć burżuazyjnych słamazarów. Kocham cię i—basta!

Ninę bardzo wzruszyły słowa Szulewicza, zwłaszcza to, co mówił o jej tajemnym smętku. To przecie prawda. O, jak głęboko zajrzał on do jej duszy!

— A ja kocham twe ciemne oczy, Marcinie. Są one tak głębokie—że nie starczy mi odwagi spojrzeć w ich przepaście. One i pociągają, i czarują, i przerażają. I głos twój kocham, twą mądrość, i twą zdolność orjentowania się. I kocham cię za to jeszcze, żeś ty mnie pokochał.

Nina westchnęła.

— Nie zadrwij ty aby ze mnie,—przemówiła zeicha, a w głosie jej zadrzał lęk i trwoga.

„Burżuazyjne oświadczyły w miłości“, przeleciało przez głowę Szulewicza. Przez cały ten czas czuł, że jego „ja“ rozpadło się na dwie części, jakby podzieliło się na dwóch Szulewiczów. Jeden Szulewicz mówił, a drugi słuchał i krytykował

go bezlitośnie, bo ten drugi często musiał się wstydić za pierwszego. To zdanie właśnie „burżuazyjne oświadczyły w miłości“ należało do drugiego Szulewicza. Pierwszy Szulewicz udał, że nie słyszy tych słów i powiedział:

— Nigdy, Ninkol—przytulił ją i zaczął całować.

Po godzinnym spacerze po pustych ulicach, zaszli do jadłodajni, zjedli kolację, aby w ten sposób chociaż zadokumentować swą szczerą miłość.

#### XIV

W pokoju pozostał tylko Stefan. Jego towarzysze rozeszli się wszyscy. Była mu nawet na rękę taka samotność, bo czasem trzeba pozostać samemu, zupełnie samemu, aby nie słyszeć nawet głosu ludzkiego. Korzystając z wolnego dnia, Stefan przeczytał coś niecoś z tego, co wchodziło w jego program działalności na wsi. Na sprawę tę patrzył poważnie. Czytając, robił notatki, wypisy, a wreszcie postawił sobie pytanie: czy nie należałoby pójść po skończeniu rabfaku do jakiegoś specjalnego wyższego zakładu naukowego—na budownictwo czy agronomję? Pytanie to pozostawił jednak chwilowo bez odpowiedzi; trzeba najpierw ukończyć rabfak, a potem życie i praktyczna praca letnia na wsi najlepiej pomogą mu prawidłowo rozstrzygnąć tę sprawę. Była jeszcze przyczyna, która skłaniała go do odłożenia tej kwestji: dziś właśnie przyszedł list od Helenki. W liście tym było wiele ciekawego, ale Stefan przeczytał go bardzo pośpiesznie, bo nie chciał w obecności towarzyszy siedzieć nad nim długo, aby uniknąć ich żartów. Zaraz na język podchwycą. „Oho, Stefkowi dziewczyny listy przysyłają». To jest jego sprawa osobista, do której nikt nie ma prawa się wtrącać. Teraz, kiedy nikogo nie było, można przeczytać list z należytą uwagą.

Trzeba dodać, że Stefan oddawna już czekał odpowiedzi na swój list. Czas jednak mijał, a Helenka uporczywie milczała.

Jaka mogła być tego przyczyna? Przyczyn mogło być wiele: mógł list do niej nie dojść, mogła się na niego obrazić za to, co napisał jej o poetach, mogła ją wreszcie związać z kimś innym przyjaźń serdeczna. W każdym razie Helena i jej odpowiedź zajmowała bardzo myśli Stefka. I oto ten długo oczekiwany list ma już w kieszeni.

Wyjął Stefan list z kieszeni, położył go na otwartej książce, —tak, na wszelki wypadek,— i zaczął czytać.

„Miły, drogi i dzielny Stefku“, pisała Hela.

Stefan przeczytał, przyjrzał się tym wyrazom, powtórzył je półgłosem, aby posłyszeć ich dźwięk, zadowolnić swe ucho, i postarał się nawet słyszeć je z ust Helenki,—pod wszystkimi względami doskonale. A jak ona go nazywa—„Stefku“... Heł to treści w tych czterech słowach. Podoba mu się nawet to, że jest ich do pary.

„Nie gniewaj się na mnie, Stefku: chciałam do ciebie napisać zaraz po powrocie do domu, ale przeziębiałam się i tak kaszlałam, że aż strach było słuchać. Chorowałam przez całe wakacje i z chaty nigdzie nie wychodziłam. Można powiedzieć, że czas cały przesiedziałam na przypiecku. Oleś z Jurkiem zabiegali do nas od czasu do czasu. Chodzą oni do szkoły i są bardzo zadowoleni, że ty uczysz się w mieście. „I my,—powiadają,—skończymy szkołę i pójdziemy piechotą szukać nauki“. W domu u ciebie wszyscy zdrowi. I matkę twoją widziałam, ale rozmawiać z nią nie miałam sposobności. Gdyś ty poszedł wtedy ze wsi, to wszyscy mówili, że cię bóg ukarze i nie znajdziesz szczęścia. A jak się dowiedzieli, żeś wstąpił i uczysz się, to zdziwili się, a niektórzy nawet mówili, że takim bezbożnikiem, jak ty, pomaga djabeł. O „świętym źródle“ już zapomniano. Józef Drygun porzucił już swoją służbę w cerkwi. Matka moja śmiała się i opowiadała, że, po pijanemu, Józef przyznał się ludziom, że dawno już odszedł od boga, ale, szanując matkę boską, nie chce jej na starość robić przykrości.

Z nowin w naszej wsi można jeszcze zaznaczyć, że umarł stary Troudel. Przed śmiercią mówił, że jak się tylko znajdzie na tamtym świecie, to przedewszystkim sprawdzi, czy jest tam raj i piekło, a potem przyśni się prezesowi rady wiejskiej, aby ten oficjalnie zawiadomił wszystkich ludzi na zebraniu i opowiedział o wszystkim, co znajdzie tam stary Troudel.

Teraz jestem znów w Zagórze. Zorganizowało się tu u nas kółko krajoznawcze. W tym kółku pracuję i ja. Zapisalam wiele piosenek, przysłów, zebrałam wiele wzorów tkanin. Mamy już i swoje muzeum krajoznawcze... Praca w tym kółku jest bardzo ciekawa.

Do końca zajęć szkolnych zostały już tylko dwa miesiące, potem kolokwia, i—bywaj zdrowa, siedmiolatko. Szkoda mi, że tak prędko trzeba będzie pożegnać się z nią. Dokąd się podzieję wtedy, nie wiem sama. Tak chciałabym uczyć się jeszcze, dostać się do wyższej szkoły, pomieszkać w mieście. A czy się to uda, powiedzieć trudno. Kiedy byłam w domu i chorowałam, to mama mówiła, że ta choroba od nauki, bo nauka wysusza mózg i wpędza ludzi w suchoty. Jej się wydaje, że ja już jestem dostatecznie mądra. Słowem, nie chce najwidoczniej, abym uczyła się dalej. Mówi, że jej ciężko, że wiele roboty, a do pomocy niema nikogo.

Tak jestem rada, Stefku, żeś postawił na swoim, że mieszkasz i uczysz się w mieście. Gdzie będziesz latem? Przyjeżdżaj do rodziców, będą ci radzi, gdy przyjedziesz. I ja chciałabym bardzo zobaczyć, jaki ty jesteś teraz. Napisz mi, jak żyjesz, bo obiecałeś mi to w swym liście. Byłam bardzo zadowolona, gdy przyszedł list od ciebie. Czytałam go wiele razy. Dlaczego tak wymyślasz na poetów? Chciałeś pewnie poprostu ze mnie zakpić? Chciałam po tym zupełnie zarzucić pisanie wierszy, ale czasami przyjdzie taka chwila, że bardzo chce się pisać. Wtedy siadam i piszę i znajduję w tym wielką osłodę. Ale więcej czytać i pokazywać ci swych wierszy nie będę. Darować sobie

nie mogę, żem ci czytała wtedy swój wiersz. Ty jednak spójrz na to jak na dziecinną zabawkę — głupia wtedy byłam. Teraz już z tej głupoty wyrosłam.

No, bądź zdrów. Życzę ci wszystkiego najlepszego. I nie śmiej się z mego listu. Chciałam napisać i więcej i lepiej. No, ale niechaj na tym będzie koniec i niechaj zostanie wszystko tak, jak napisałam.

Helena Harnaszko».

Przeczytał Stefan i zadumał się. Żal mu się zrobiło Helenki. I taka bliska, taka droga stała się jego sercu. A on skrzywdził ją w tamtym liście! I za co? Za jej szczerość wobec niego. A jaki miły list napisała do niego! Ona chce go zobaczyć, jego, takiego szorstkiego i nieczulego.

Stefan zaczął robić sobie wyrzuty za tę szorstkość. Wszystko to dlatego, że myśli on o sobie więcej, niż potrzeba. Przez to i matkę skrzywdził, i z Olesiem pożegnał się wtedy niezupełnie po bratersku, i Helence przykrość wyrządził. Czemu jest taki podły?

Stefan złożył starannie list Heli i schował. Wstał, przeszedł po pokoju raz, drugi. Obrazy dzieciństwa i rodzinnej wsi wypłynęły przed nim tak jaskrawo, jak gdyby je kto namalował przed jego oczyma. Chodził Stefan i rozważał. Przedewszystkim napisze do Heli, napisze, nie zwlekając, od razu dzisiaj. W głowie począł układać swój list do Helenki. Opisz je, w jakich warunkach czytał jej list i z jaką przyjemnością go czytał, jak niecierpliwie go oczekiwał, jak wymyślał sam sobie za swe nieostrożne wyrażenia o poetach, przecie wcale na myśli nie miał wtedy Helenki. Jeśli posiada taki mocny pociąg do układania wierszy, to jest to znak tego, że Helenka jest prawdziwą poetką. Niechaj więc pisze, ale wiersze wesole, żywe, pełne energii, bo w życiu tak wiele radości, a smutki, niepowodzenia trzeba przezwyciężyć. Że zaś Stefan nie jest wrogiem poezji, to widać chociażby z tego, że z przyjemnością czytał wiersz

Szymona Gałyzy—„Hej!“ Poprosi nawet Szymona o ten wiersz, i poszle go Heli, jako przykład tych poezji, które mu się podobają. A potem napisze, żeby Hela radośniej spoglądała na życie, na swą dalszą naukę. Jeśli trzeba, to on jej dopomoże.

Stefan już się chciał zabrać do pisania listu, gdy nagle zatrzymał się: wrócił Szymon Gałyza.

— A ty wciąż w domu siedzisz?

— A co mam robić?— pytaniem odpowiedział mu Stefan, trochę niezadowolony z powrotu Szymona.

— Zazdroszczę ci, Stefku, tyś zawsze zrównoważony, spokojny— żadne licho cię nie bierze.

— A czegoż to mnie licho ma brać? Lepiej ja je sam wezmę za boki i przycisnę tak, żeby więcej nie wstało.

— Powiedz, Stefku, co lepiej: czy wyśmiać człowieka, czy zapłakać nad nim?

Popatrzył Stefan na przyjaciela, uśmiechnął się:

— Wiesz co, Szymku?

— No?

— Siadaj i pisz wiersz: mówię ci, będzie doskonały.

— Dlaczego tak myślisz?— zdziwił się Szymon.

— Widzę po tobie.

— A bodajżeś się spalił: wszystko widzisz?.. A powiedz: czy mogą mnie dziewczęta kochać?

— A dlaczego nie?— czyś ty nie chłopak, czy co?

— A czemuż mnie, szelmy, nie kochają?

— A pytałeś je o to?

— Nie, bracie, nie pytałem i pytać nie będę. Do djabła z nimi! Szymon odwrócił się na pięcie. Wziął się za książkę.

A po pewnym czasie ręka jego energicznie kreśliła ołówkiem.

## XV

Zmęczony i zatroskany leżał Szulewicz na twardej i brudnej kanapie w swoim pokoju. Było to jego drugie mieszkanie.

Placił za nie cztery ruble. W jego budżecie cztery ruble—to znaczna suma. Można byłoby ich nie wydawać, ale on inaczej nie mógł. Usprawiedliwiał się przed sobą tym przedewszystkim, że jest aktywistą, że prowadzi pracę społeczną. Musi się przygotowywać do referatów na różne tematy, musi studjować specjalne książki w związku ze swą pracą na wsi, a prócz tego trzeba się zajmować nauką. Wszystko to łatwiej zrobić, gdy się ma oddzielne mieszkanie. Oto dlaczego musiał je wynająć. W ten sposób opowiadał wszystkim, w ten sposób przekonywał samego siebie. Teraz jednak, grzebiąc się w samym sobie, w swoich postępkach i podsumowując to wszystko, musiał się przyznać, że wszystko to było zawracaniem głowy, a pokój wynajął wyłącznie z powodu Niny, bo trzeba było mieć przecie kąt, gdzie mogliby się czuć zupełnie nieskrepowani, żeby całkowicie oddać się „wyższym i lepszym uczuciom“. Te „wyższe i lepsze“ uczucia, jak nazywał je Szulewicz przed kilku miesiącami, zdobywając Ninę, teraz zaczynały mu dokuczać, przeszkadzać, ciężyc jako niepotrzebny i zbyteczny kłopot.

Czemuż to tak wykoszlawiła się ta „pieśń wiosny“, pieśń miłości? Czemu ostatnie jej akordy dzwonią brzękiem kajdanów? A bardzo prosto: on szukał w niej towarzysza, przyjaciela, a znalazł tylko kobietę, przytym z mieszczańskim odcieniem, bo jej potrzebne jest mieszczańskie gniazdo, ona chce mu związać skrzydła, przykuć go do siebie. Przez nią odsunął się od pracy społecznej, zaniedbał naukę, traci pieniądze na niepotrzebne wydatki, wpadł w długi. Wiele innych jeszcze dowodów znajdował Szulewicz, i wszystkie te dowody przemawiały za tym, że ich miłości należy położyć kres i że wszystkiemu winna jest wyłącznie Nina. Winą jej jest nawet i to, że tak łatwo i prędko poszła za nim na wszystko. Wystarczyło mu tylko kiwnąć palcem, aby przylepiła się zaraz do niego. I jeszcze ma do niego pretensje: do „Zags'u“ go ciągnie. Nie, braciszku, figa! Niema głupich, chodzić z pierwszą lepszą



do „Żags'u“, psuć tylko papier. Wziąć na siebie rolę człowieka żonatego, założyć rodzinę, czuć na swej szyi wieczny ciężar—tfu! Dziko i niedorzecznie.

Zerwał się z kanapy, założył ręce na kark i zaczął chodzić z kąta w kąt, rozmyślając, jak łatwiej się z tego położenia wycofać... Et, co tam zresztą wiele rozważać: takie historie liczą się na dziesiątki tysięcy.

Gdzieś od podwórza dał się słyszeć skrzyp drzwi.

— W domu, w domu!—mówił głos gospodyni.

— „Ona!“—pomyślał Szulewicz i skrzywił się jak gdyby coś kwaśnego wpadło mu do ust. Przesunął ręką po włosach, odrzucił je w tył. W drzwi zastukała czyjaś nieśmiała ręka, a jednocześnie śpiewny głos dziewczęcy zapytał:

— Czy można?

Szulewicz w milczeniu otworzył drzwi.

— Rad jesteś, że przyszła?—zapytała Nina, zatrzymując się u progu. Policzki jej zarumienił chłód jesienny, na ustach błąkał się cichy, jakby świadomy winy bladej uśmiech, a szafirowe oczy spoglądały smutno i trochę lekliwie.

— Dawniej nigdy nie przychodziłaś do mnie z takim pytaniem... Siadaj, Nino,—przerwał sam sobie, bo poczuł, że nie tak zaczął jak trzeba.

Ona westchnęła.

— Bo dawniej nigdy nie spotykałeś mnie z taką kwaśną miną, Marciniel!

Nina zmusiła się do uśmiechu.

— Wymyślasz, Nino, zawsze rad ci jestem,—oczy Szulewicza spojrzały gdzieś w bok.

— Nie, Marcinie, nie kłam sam sobie, dawniej nie taki byłeś, zupełnie nie taki. Czyż ja tego nie widzę? Dawniej, gdy przychodziła do ciebie, na sercu było mi spokojnie, jasno, radośnie. A teraz czuję, że jestem ci obca, i odczuwam jakiś

dziwny lęk, gdy zbliżam się do twego progu, bo ty mnie nie kochasz. A możesz ty mnie nigdy nie kochać...

— Sama sobie przeczysz, Nino: najprzód w sercu twym było jasno, radośnie i jeszcze tam coś było, bo wiedziałaś, że cię kocham. A teraz raptem mówisz, że cię może nigdy nie kochałem.

— Do słów, Marcinie, łatwo się przyczepić, ale przecie nie w słowach tu siła, a w faktach.

— Jakaś ty nudna, Nino!—z bólem w głosie przemówił Szulewicz:—nie wiem, czego ty chcesz ode mnie.

— No, nie złość się, Marcinie, mój miły, mój dobry! Kocham cię przecie,—z pieśczętą w głosie powiedziała Nina i rzuciła się ku niemu, aby się przytulić.

Szulewicz zmarszczył się i machnął ręką, jakby broniąc się od dokuczliwej muchy.

— Słyszałem to już... Nino!—nie jesteśmy dziećmi. Pora już wziąć się do poważniejszej roboty, nie będziemy się przecie wiek cały lizać,—ordynarnie odciął Szulewicz:—dosyć już tego mieszczańskiego szczęścia! Ty tylko pomyśl, Nino, jakimi głupstwami my się tu zajmujemy, na co tracimy czas. Nie trzeba zapominać, kim jesteśmy, i gdzieśmy, jakie zadania społeczne i rewolucyjne stoją przed nami. Powinniśmy być awangardą rewolucyjnego proletariatu, powinniśmy torować drogę ideom komunizmu i rewolucji wszechświatowej, a nie siedzieć w objęciach, stękać i kwękać, i biedować: kocha—nie kocha... Dla całości tej idylli wartoby jeszcze zerwać kwiatek i wróżyć, odrywając płatki: „kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje“... Tfu, jakie to wstrętne! Do jakiej to mieszczańskości można się stoczyć.

Twarz Niny to bladła, to płonęła. Słuchała, ale słyszała tylko słowa, nie mogąc uchwycić ich sensu. Jedno tylko było dla niej jasne: jest tu zbyt uczona, niekochana,—sprzykrzyła mu

się. Wszystko, co można było wziąć od niej, wziął i więcej jest mu już niepotrzebna.

— Marciniel! ja pójdę za tobą wszędzie, pójdę na jaką chcesz walkę. Będę ci wierną pomocnicą, ani na krok cię nie opuszczę. Ja wiele od życia nie wymagam, bo wyrosłam w biedzie i w ciężkiej pracy. Umiem pracować i mogę pracować.

Zniżyła głos i przypomniała mu:

— Tyś mi mówił, że znalazłeś we mnie przyjaciela-towarzysza, a ja ci uwierzyłam, uwierzyłam z całą szczerością mego serca. Ja chcę być twym przyjacielem i towarzyszem.

Szulewicz słuchał ponuro, nie spoglądając na nią.

— Tak, spodziewałem się znaleźć w tobie druha, ale omyliłem się. Coś ty zrobiła do tego czasu dla rewolucji? Mało pracujesz nad sobą, nie jesteś aktywna. Dochodzisz nawet do takich granic mieszczańskości, że zaczynasz się fryzować, jak jakaś burżuazyjna panienka. Nino! omyliłem się co do ciebie. No, cóż! powinniśmy się uczyć na naszych błędach. Nie błądzi tylko ten, kto nic nie robi. Czuję, że ty mnie ciągniesz w mieszczańskie błotko. Zająwszy się sobą, zapomnieliśmy o interesach proletariatu. Z twego powodu opuściłem się w nauce, pozostałem w tyle, zalałem w dług, tyś mnie zrobiła przestępcą, bo roztrwoiłem sześć rubli z sum moprowskich, tyś zniszczyła moje marzenie, moje najpiękniejsze marzenie o towarzyszu-przyjacielu. Nosiłem, pieściłem, kołysałem je w kolebce mego serca. Z takim zapałem, z takim pożądaniem szukałem w tobie tego przyjaciela i nie znalazłem go!—tragicznie wykrzyknął ostatnie słowa.

Szulewicz wszedł w swą rolę mówcy. „Najlepszy sposób obrony—to przejście do ataku“, pomyślał i posypał dźwięcznymi słowami jak z rękawa. Im dłużej mówił, tym mniej miała Nina wątpliwości, że jest tu zbyt uczynna, że on ją oszukuje temi pięknymi, dźwięcznymi słowami, i że ona nie potrafi utrzymać go przy sobie. I poco zresztą? Jaka z tego korzyść? On

chce poprostu pozbyć się jej, ale nie ośmiela się tego powiedzieć wprost i otwarcie. Zrobiło się jej gorzko i boleśnie.

— Słuchaj, Marcynie!—powiedziała twardo:—po co ty grasz tutaj tę komedję? Dlaczego nie starczy ci odwagi powiedzieć mi prosto: „Idź do diabła, już mi nie jesteś potrzebna!“ Teraz otworzyłeś mi oczy i zobaczyłam nareszcie, coś ty za jeden. Myślałam, tyś—mocny człowiek, wierzyłam ci, żeś ty rewolucjonista. A ty tylko hańbisz to wielkie słowo i przykrywasz nim swą nikczemność. Nie chcę nikomu być ciężarem, ale pocóż ty mnie zwodził? Dlaczego kłamałeś? Dlaczego kłamiesz teraz przede mną i przed samym sobą? Powiedz: jakiego druha-towarzysza tyś we mnie szukał?

— Ty nie możesz pojąć mnie swoim rozumem,—zaczął on, ale, zamilkł w tej chwili, kiedy Nina z szyderczym uśmiechem, pełnym wyrzutu, zakiwała głową:

— Przestań, Marcynie! Może z ciebie i dobry... komedjant, ale ja już przejrzałam teraz twą mizerną istotę. Tobie potrzebne było poprostu moje ciało... Pamiętasz, jak często rzucałeś i teraz rzucasz jeszcze słowo „mieszczkańskość“? Tą „mieszczkańskością“ zbiłeś mnie z tropu, z drogi. Przez tę „mieszczkańskość“ uczyniłeś mnie nieszczęśliwą. Ale o tym mówić już nie będę. Przyszłam do ciebie, jak do blizkiego mi człowieka, bo nie mam... nie miałam doniedawna nikogo bliższego od ciebie. Chciałam pomówić z tobą o skutkach naszego zbliżenia, o tym, co mamy robić dalej, a tyś się zaczął skarżyć na mnie, że ja ciebie uczyniłam nieszczęśliwym. Jak cię nazwać po tym wszystkim? Masz tyle pięknych słów, dźwięcznych słów, wybierz z nich jedno odpowiednie i przyklep do siebie.

Nina szybko odwróciła się, aby wyjść.

— Poczekaj, Nino! Co to takiego? Abort, czy tam coś?.. Ja ci dopomogę.

Uderzyła w niego wzrokiem, pełnym gniewu i nienawiści.

— Nie śmieję zbliżyć się do mnie, bo plunę ci w twoje zło-  
dziejskie oczy, nieszczęsny... sameczel!

Jak spoliczkowany, stał na miejscu, a na ustach zastygł  
mu jakiś krwawy uśmiech.

— Chciałem ją zatrzymać, pomówić, wyjaśnić, przeanalizo-  
wać, dopomóc, a ona plunęła na mnie... Sama sobie winna.

## XVI

Jak nigdy jeszcze w życiu Nina odczuła swą samotność  
i ból oszukanej dziewczyny. Uwierzyła w swe szczęście, i tak  
boleśnie, tak surowo została za to ukarana! Osobliwie ciężkie  
były dla niej pierwsze chwile wtedy po wyjściu na ulicę. Gdzie  
się teraz podziać? Co robić? Nogi same niosły ją dokądś, ale  
ona nie odczuwała tego. Na ulicy było pusto i głucho, dał  
w oczy chłodny wiatr, na rozpaloną twarz padały drobne krop-  
pelki deszczu. W duszy jej było równie pusto i ciemno jak  
i na tej ulicy. Nie mogła nawet zebrać swych myśli i skupić  
się na czymkolwiek. Raptem cały świat stał się dla niej pust-  
ką, nie było się o co zaczepić, aby nie runąć w przepaść.  
Świeże powietrze i ten chłodny deszcz przywróciły jej jednak  
przytomność.

„Dokądże to ja idę?“, pomyślała dziewczyna. Obejrzała się  
poza siebie: miała jeszcze tajoną nadzieję, że on dogoni ją, za-  
wróci. Z tyłu na mokrym chodniku rozległy się czyjeś kroki.  
To napewno on. Ona jednak nie wróci, nie wróci. Nie, nie  
powróci! Z zamierającym sercem zwolniła kroku. Nie, to nie  
on. Minał ją, poszedł dalej. Nieznajomy, obcy człowiek. Wszyscy  
tu jej obcy, a ona sama, samiuteńka na świecie, sama  
ze swą krzywdą, ze swym bólem. Skręciła na inną ulicę. Tu  
było widniej i ludniej. Obejrzała się raz jeszcze. Po drugiej  
stronie ulicy równoległe z nią tonęła w mroku jakaś postać.  
Mało to jednak ludzi chodzi ulicą? Ale ta postać niepostrze-  
żenie dla Niny skręciła w tę samą ulicę, którą poszła i ona.

Jeśli przejść tę ulicę i skręcić naprawo—trafi się akurat do rabfaku. Nie chce się jej jednak iść tam. Lepiej tutaj przejść się. Z twarzy jej dowiedzą się o ciężkiej krzywdzie, o ordynarnej zniewadze, której doznała. Może kogokolwiek to nawet ucieszy.

Pewien czas chodziła Nina ulicą. Myślała o swym ostatnim spotkaniu, wspomniała wszystko, co mówił on i co ona powiedziała. Przemyslała wszystko, zważyła każde swoje i jego słowo. Czasami napadały ją wątpliwości, czy nie powiedziała czegoś takiego, co mogło jej zaszkodzić, wywoławszy takie zakończenie, czy nie sama ona temu jest winna. Może to i prawda, że zbyt wiele myślała o swoim szczęściu i przeszkadzała mu w niesieniu pewnych obowiązków społecznych. Przypomniała sobie, że opuściła kilka zebrań jacejki.

Były chwile, kiedy gotowa była uznać swą winę i usprawiedliwić go, i w takie minuty było jej jeszcze ciężej.

— Nino!—posłyszała.

Wzdrygnęła się dziewczyna, cofnęła się o krok, obejrzała się.

Uśmiechając się życzliwie, Szymon zrównał się z nią.

— Idziesz do domu, Nino?—spytał i wziął ją za rękę.

Teraz dopiero przypomniała sobie Nina ciemną postać, która mignęła jej przed oczyma. Napewno był to Szymon. Czego on chce od niej? I dlaczego ją tak zagabnął? Czyżby on wiedział wszystko? Czyżby ją śledził? Nina wiedziała, a raczej przeczuwała, że Szymon trochę się w niej kocha, ale nie miała czasu zastanawiać się nad tym, bo sama była zajęta i oślepią swym nieszczęściem.

Postarała się przezwyciężyć siebie, aby zataić ciężki stan swej duszy. Spodziewała się usłyszeć śmiech, kpiny i natrzęsanie się z jej nieszczęścia. No, więc cóż?—jej już wszystko jedno.

— Przejdźmy się, Nino, chociaż raz w życiu.

— Przejdźmy się.

Cóż miała mu powiedzieć?

Chwil kilka oboje milczeli. Nina szła ponura.

— Wyglądasz jakby czymś zasmucona, Nino?—w głosie Szymona była miękkość i współczucie dla jej smutku.—Czemu tak niewesoło głowę pochyliłaś?—dodał.

— A tak, trochę się czuję nieswojo, Szymku.

I raptem, zakrywszy twarz rękoma, zaszlochała gorzko-gorzko dziewczyna.

Na ulicy było ciemno i pusto.

— Co z tobą, Nino? Ninko, co się stało? Czemu ty płaczesz?

— Puść mnie!—wyszeptała zduszonym głosem.

— To byłoby nie po towarzysku, Nino. Nigdzie cię nie puszcze. Uspokój się, Ninuś!

Ten płacz i lzy bolesnym echem odbiły się na Szymonie. Zmieszał się trochę i nie wiedział, jak ma postąpić. Pocieszał ją, jak mógł. Mówił coś do niej, ale słowa jego były nieskładne, splątane. Język nie słuchał go, zaciął się. W głosie jego brzmiała szczerłość prawdziwego przyjaciela, gotowego odczuć cudze nieszczęście, a tymbardziej jej nieszczęście.

Gmach rabfaku był niedaleko. W takim stanie pokazać się tam Nina nie może. Powinna się wyplakać, wylać swój żal.

— Wróćmy się, przejdziemy się jeszcze, Ninko! Musisz się uspokoić. Tutaj niema nikogo.

Pokornie poszła za nim, wstrząsana tamowanym łkaniem.

— Przestań, Niuko!—No, gołąbko moja, nie można tak!.. Nino, ja—jak grób: nikomu ani—ni. Powiedz, co ci jest?

Jak ciężko skrzywdzone dziecko, Nina oparła swą główkę na jego ramieniu i w milczeniu płakała. Było jej tak ciężko i gorzko. Piekący ból szarpał jej piersi.

Szymon nie znajdował słów i milczał. Serce bolało go za ukochaną dziewczynę i samemu było mu gorzko. Jednocześnie przyjemnie mu było, że biedna dziewczyna na jego pierś wy-

lewa swój żal. Bardzo chciał jej powiedzieć, jak bardzo jest mu droga, jak bardzo ją kocha, ale obawiał się powiedzieć jej to teraz: na co jej jego miłość, gdy ona pokochała innego i przez tego innego teraz płacze.

— Wiem, Nino, dlaczego ty płaczesz,—z odcieniem smutku w głosie zaczął Szymon:—może nie wszystko wiem jeszcze, ale wiele się domyślam. Nie myśl tylko, Nino, że chcę ci sprawić ból, albo że myślę o tobie źle. I ja wymęczyłem się, przeboleiałem wiele z twego powodu, Nino. Nikomu o tym nie mówiłem, czarne wiersze na papierze to jedyni świadkowie moich bezsennych nocy i mych cierpień... Ale może ciebie, Nino, wcale to nie interesuje?

Nina wytarła łzy i ciężko westchnęła. Niedawny płacz i przeżyty ból wstrząsały jeszcze jej piersią i dlatego westchnienie to wydało się jeszcze cięższe.

— Ty jesteś dobry, Szymonie! Przebacz mi, jeśliś z mego powodu przeżywał tak gorzkie chwile! Nie jestem tego warta!

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale znowu zamknęła się w sobie i zamilkła. Zamilkł i Szymon.

— Ty sama nawet nie wiesz, Nino, jakaś ty kochana i miła. A kto cię nie umie ocenić, pluń mu w oczy. Nino, ty kochasz Szulewicza?

— Skończone między nami... Szymku, ciężko mi mówić o tym.

— On cię oszukuje, Nino. Nie wierz mu. On kocha tylko samego siebie.

— Skończone między nim a mną wszystko. Nie będziemy o nim mówić.

— I przez niego tyleś wycierpiała, Nino, tak gorzko płakałaś... Ty go i teraz kochasz, Nino?

— Wierz mi, Szymonie, skończone wszystko. Gorzko mi i boleśnie, że wierzyłam mu, wierzyłam jak człowiekowi, a tego człowieka w nim nie było. Kochałam go... a może zresztą



tak mi się tylko wydawało. Sama nie mogę jeszcze zdać sobie z tego sprawy. Może to ja jestem winna... Kiedyś opowiem ci wszystko, a teraz pozostaw mnie samą, Szymonie.

— Ja wiem, Nino, że ci nieprzyjemnie być ze mną...

— Szymku, drogi, mylisz się. Muszę poprostu zebrać swe myśli, przyprowadzić je do porządku. O mnie się nie bój. Ja potrafię wziąć się w ręce.

— Zuch z ciebie, Nino! Pamiętaj, że chociaż to rzeczy bolesne, ale to są tylko nasze bóle osobiste. A są przecie i cierpienia społeczne. Kto nie przemoże swych cierpień, ten nie potrafi być pracownikiem społecznym. Ciężko mi jest, Nino, z twego powodu i z powodu mnie samego. Ale pamiętaj, że Szymon, chociaż on tylko Gałyza,—żartobliwym tonem powiedział,—nigdy cię nie zapomni i w potrzebie zawsze ci dopomoże.

— Wierzę ci, Szymonie. Serce masz złote!

— Daj mi więc słowo, że będziesz moją przyjaciółką i weźmiesz się w ręce.

Nina uśmiechnęła się i uściśnęła mu rękę.

— Daję... No, pójdziemy razem,—namyśliła się nagle.

I skierowali się ku gmachowi rabfaku.

## XVII

Szulewicz, gdy pozostał sam, poczuł jakąś pustkę. Rozwiązanie, ku któremu dążył, wzięło niespodziewany obrót. Nigdy się nie spodziewał, że Nina wykaże taką stanowczość charakteru i tak śmiało rzuci mu w twarz oskarżenie. Spodziewał się ją zwyciężyć, a tymczasem sam został pobity. W pierwszej chwili chciał ją dopędzić, zawrócić, ale potym wstrzymał się. Na czym polega jego wina? Czy na tym, że pokochał dziewczynę, a potym rozszedł się z nią? I czyż to jego wina, że miłość do niej umarła w nim? Czy byłoby lepiej, gdyby nie rozeszli się, pomimo to, że miłość jego wygasła? Czyż byłoby lepiej oszukiwać ją i nadal, zapewniać o swej miłości?

Te i tym podobne pytania wyrastały przed nim, żądając odpowiedzi. A w uszach dźwięczały jeszcze jej słowa: „Pocoś ty mnie oszukiwał“? „Dlaczego kłamałeś przede mną i przed sobą?“ „Dlaczego odgrywasz tę komedję?“ «Potrzebne ci było moje ciało»... Od słów tych wiało chłodem, były one celnie, były ostro i boleśnie. Czy miała ona prawo mówić tak do niego?

Tutaj Szulewicz znowu jakby się rozdziwił. Jeden Szulewicz odczuwał pałący wstyd za drugiego Szulewicza, a ten drugi—ze wszystkich sił starał się usprawiedliwić. A jednocześnie stał przed nim obraz dziewczyny, stał jak żywy nieunikniony wyrzut... Cóż ona pocnie ze sobą? Chciała coś powiedzieć o skutkach ich zbliżenia i nie powiedziała. Było to coś nowego, co jego stosunkowi do niej nadawało odmienne zupełnie zabarwienie.

W głowie jego zawiązał się splątany i zaciśnięty węzeł.

— Tfu!—splunął ze złością. Jest nad czym głowę łamać, tracić na próżno energję mózgową! Spotkaliśmy się, rozeszliśmy się. Wzięliśmy dań od swej młodości i—kwita.

Taki wniosek jednak, choć ozdobiony znaczną dozą zuchowatości, nie uspokoił go jednak. Ze strony to zagadnienie połogowe wydaje się proste i łatwe, a skoroś się sam w nie wplątał, zapominasz zupełnie, gdzie okno a gdzie drzwi.

— Najlepiej urządzić na ten temat wieczór dyskusyjny.

Szulewicz siadł i zaczął kreślić tezy do nowego referatu.

Ten nowy referat pochłonał go całkowicie. Referat okazał się bardzo poważny, w trakcie rozmyślań nad nim otwierały się wciąż szersze i szersze perspektywy i pojawiały się wciąż nowe argumenty, potwierdzające słuszność jego poglądów. W zapale mówił do siebie: „Precz z burżuazyjnymi wahaniem i liryką! Trzeba brać fakty takie, jakimi one są“. Do referatu przygotowuje się gruntownie, przejrzy dane źródłowe, naprędce tego sklecić nie można. W związku z tym referatem będzie można

nawet otrzymać delegację, aby zapoznać się z tą kwestją w jacejkach komsomolskich na prowincji. To najlepsze, co może zrobić obecnie: niech minie czas jakiś i złagodzi się ostrość chwili w jego stosunkach z Niną.

Dopiero na trzeci dzień Nina dowiedziała się o jego delegacji. Cel tego wyjazdu był dla niej zupełnie jasny. No, cóż?— może to i lepiej, teraz przynajmniej żadnej już nadziei nie pozostało. „Weź się w ręce“!, przeleciało jej przez głowę. Przynależała to Szymonowi i dotrzyma słowa, przewycięży swój ból, chociaż jej ciężko, nikt nie wie nawet, jak ciężko.

Już drugi miesiąc Nina obserwuje się pilnie i coraz bardziej nabiera pewności, że zdarzyło się z nią to nieszczęście. Tak się tego obawiała i nie minęło jej to. Pokryjomu poszła do specjalistki, aby upewnić się co do swej biedy dziewczęcej. Nieszczęście to przyszło, przyszło i oszołomiło dziewczynę. Oto dlaczego tak jej było boleśnie, gdy przyszła do najbliższego człowieka, aby podzielić się z nim swym zmartwieniem i nie usłyszała od niego nawet dobrego słowa. Mało tego, że on oplwał jej honor dziewiczy, bo rzucił ją przecie,—ale jeszcze zarzucił jej, że uczyniła go nieszczęśliwym! Gdyby się była spodziewała, że spotka ją tak nieżyczliwie, nie poszłaby za nic do niego i nigdy nie powiedziałaby mu o tym, do czego teraz nie ma odwagi przyznać się swym towarzyszkom. Po co mu było mówić o tym... Trudno, teraz już nie cofnąć tego, co się rzekło. Trzeba coś zrobić, poczynić kroki, odważyć się na coś. Trzeba się z kimkolwiek poradzić. A może załatwić tę całą sprawę pokryjomu?

Ta przygoda przesłoniła wszystko. Myślała o niej nieustannie, nosiła ją w sercu, w myślach, męczyło ją to, bolało. Strasznie nie chciała, aby o tym dowiedzieli się wszyscy. Prawda, wszyscy wiedzieli o jej współżyciu z Szulewiczem. Ale czyż to mało ludzi współżyje z sobą? Pożyją i rozejdą się. Takich wypadków jest wiele, zwłaszcza teraz. I jeśli spojrzeć na tę sprawę pro-

sto, bez przesądów, to niema w tym nic nadzwyczajnego. Jej zaś obawy i wstyd—to echo dawnych poglądów na kobietę, gdy była ona jeszcze niewolnicą, oddaną całkiem pod władzę mężczyzny. Liczne fakty, wskazujące na to, że kobieta współczesna przestała się liczyć ze starodawnymi poglądami na cnotliwość, współczesny pogląd na kobietę,—wszystko to przemawiało za tym, że Nina nie powinna wstydić się tego, co się z nią stało. Pomimo to jednak nie starczyło jej odwagi powiedzieć o tym towarzyszkom. Mocne, widocznie, były jeszcze w niej te nici, które łączyły ją z kobietą przeszłości. A gdyby tak opowiedzieć o wszystkim Szymonowi? Z Szymonem przechadzała się stale podczas pauz. Był on względem niej bardzo dobry, uprzejmy i uprzedzający. Jakby też on zapatrywał się na to i jak odniósłby się do niej? Ta myśl mocno utkwiała w głowce Niny, ale powiedzieć mu jednak nie odważyła się—zresztą nie było nawet potrzeby. Wcześniej jednak czy później opowie mu o wszystkim.

Kilka dni nie widać było Niny na rabfaku. Szymon zauważył to odrazu. Hanka Budaj, która mieszkała z nią w jednym pokoju, na jego zapytanie, co się stało z Niną, odpowiedziała mu, że Nina zachorowała. A gdy wieczorem przyszedł ją odwiedzić, okazało się, że Ninę odwieziono już do szpitala. Historja prosta: Nina spróbowała jakiegoś domorosłego środka.

Zrobiło jej się niedobrze i ledwie żywą odwieziono ją do szpitala. Po tygodniu Nina wróciła. Znacznie schudła, była blada, twarzyczka jej ściągnęła się. Młode siły i zdrowy organizm pomogły jej szybko się poprawić. Teraz wypiękniała nawet bardziej jeszcze.

Pewnego razu Nina rzekła do Szymona:

— Czy wiesz, Szymonie, na co ja chorowałam?

— Na anginę w ostrej formie.

Nina uśmiechnęła się.

— Tak ci powiedziały nasze dziewczęta. Naprawdę jednak chorowałam na co innego i tobie, jako swemu przyjacielowi, powiem: robiłam sobie sztuczne poronienie.

I spojrzała na niego.

Szymon spuścił oczy. Nie mógł znaleźć słów odpowiedzi i czuł się niezręcznie.

— Przypuszczałem, Nino, że to może się zdarzyć... Byłoby jednak lepiej, gdyby tego nie było.

Nina westchnęła.

— Prawdę rzekłeś, że byłoby lepiej. Wszystko to było dla mnie bardzo bolesne i ciężkie.

Zamilkła na chwilę.

— Ale zato nabrałam pewnego doświadczenia życiowego.

— Jakiego?

— Po pierwsze, przekonałam się, że w mężczyznach tkwi jeszcze dawny człowiek. Czy on tkwić powinien, czy nie powinien—tego nie wiem, ale wiem, że tkwi. A po drugie, że „towarzysz“ i „przyjaciel“, o których wy, mężczyźni, nam babom opowiadacie—to pusty dźwięk.

— Że wszystko to dla ciebie było bardzo bolesne, ciężkie, z tym się zgadzam i wierzę temu, ale w żaden sposób nie mogę się zgodzić z twym „doświadczeniem“.

Zawiązał się między nimi gorący spór i najwidoczniej w sporze tym Nina musiała ulec, bo powiedziała:

— W tobie niema dawnego człowieka i ty naprawdę widzisz we mnie równego sobie przyjaciela.

## XVIII

Stefan przysłał nareszcie odpowiedź na list Heli.

Ten list otrzymała Hela już w domu, po ukończeniu siedmioletki. Straciła już nawet nadzieję na otrzymanie listu i pod

wpływem smętnych myśli napisała kilka lirycznych wierszy. Jeden z tych wierszy rozpoczynał się tak:

Ja girlandą mar dziewczęcych  
Obraz miły ustroiłam,  
Z nim szczęśliwie dni me biegły,  
W ciemne noce z nim gwarzyłam.

Serce jej zabiło mocno, gdy spojrzała na kopertę, na wyraźny charakter ręki Stefkowej. I list nie był zwykły, a polecony. I znalazła Helenka w tym liście to, czego się nigdy nie spodziewała: fotografię Stefana! Gdy na tę fotografię spojrzała, radością zakwitła dziewczyna, i policzki jej jak mak zapłonęły. Stefek, Stefek jak żywy! Jak doskonale wyszedł! Hela czas jakiś nie mogła oczu oderwać—chwacki chłopak! Poważny, myśli o czymś, oczy spoglądają gdzieś w dal, czoło wysokie, otwarte, włosy odrzucone do góry. Twarz wydelikatniała—co to znaczy mieszkać w mieście, uczyć się. I wąsik już się sypie. Spojrzała na drugą stronę fotografii, a tam nadpis: „Drogiemu przyjacielowi dzieciństwa, miłej Helence na pamiątkę od Stefana. Mińsk, 30-V—1924“. Hela przytuliła fotografię do serca, pocałowała ją ukradkiem, schowała i zaczęła czytać list.

Stefan zawiadamiał Helę, że tego lata nie może przyjechać do Zaborców, chociaż bardzo chciałby ją zobaczyć i odwiedzić dom. Latem wyjeżdża do dalekiego okręgu, aż pod samo Pole-sie i tam przebędzie do końca wakacji. Zapytywał, jak Hela ukończyła siedmioletkę i co zamierza robić nadal. Ze swej strony radził jej nie zarzucać książek i nie upadać na duchu: można się samodzielnie przygotować do uniwersytetu tak samo, jak to Stefan przygotował się sam, by wstąpić na rabfak. Wysłał jej wkrótce program, a ona niechaj mu napisze, jakich książek potrzebuje—i te książki otrzyma od niego. Nie należy zwracać uwagi na to, co mówi matka: kobieta powinna sobie sama torować drogę ku nowemu życiu. Przytoczył jej słowa Lenina o tym, że i kucharka powinna umieć kierować pań-

stwem, i napisał, jaką rolę odegrać może włościanka (wykształcona, ma się rozumieć) przy wprowadzaniu nowego bytu na wsi. Wtedy dopiero kultura na wsi podniesie się na należyty poziom, gdy kobieta-włościanka stanie się kulturalna.

Dalej opisywał Stefan swój pogląd na poezję i na jej znaczenie jak w rewolucji tak i wogóle w życiu ludzkim. Stefan w żadnym razie nie jest przeciwnikiem poezji. Hela nie powinna się obrażać za jego ostry sąd o poetach, bo często, trzeba to przyznać, zdarza się czytać takie wiersze, że Stefan, chociaż nie jest w najmniejszej mierze poetą, napisałby lepiej. Na podstawie pewnych danych zaliczał on Helę do rzędu prawdziwych poetów i dlatego radził jej w żadnym wypadku nie zarzucać „swych rozmów z muzami“.

W końcu Stefan pisał, że nakreślił już sobie plan pracy na okres letni i plan ten postara się urzeczywistnić, gdy przyjedzie na przyszłe lato do Zaborców. „Ty zaś, Helu, mieszkając na wsi, przypatruj się jej bolączkom, jej potrzebom, pisuj do gazety „Sawieckaja Bielaruś“, oświetlaj życie współczesnej wsi, walcz z jej ujemnymi stronami. To będzie twoja pierwsza praca społeczna. Ona wciągnie cię niepostrzeżenie do pożytecznej pracy. Organizuj nasze dziewczęta, czytaj im gazety—czas zawsze znajdziesz. A gdy ja przyjadę—roboty starczy dla nas wszystkich. Gdy przyjadę na miejsce, napiszę do ciebie i przyślę swój adres. Bądź zdrowa. S. Boruta“.

Ten list niesłychanie uradował Helę, ożywił, podniósł jej nastrój, wywołał cały szereg nowych pytań w związku z pracą społeczną. A Stefan jeszcze bardziej wyrósł w jej oczach. Nie było dnia, aby Hela nie popatrzyła na jego fotografię. Taką samą fotografię przysłał Stefan i matce. Oleś, spotkawszy Helę, zawołał ją do chaty i pokazał jej fotografię Stefka. Hela obejrzała ją, powiedziała, że bardzo dobrze wyszedł, ale o tym, że i jej Stefan przysłał fotografię, nie wspomniała nic.

Dawniej przy czytaniu gazet Hela mało zwracała uwagi na korespondencje z życia wsi. Teraz zaczęła się im przypatrywać, aby według ich wzoru napisać, bo trudno zrobić pierwszy krok. Napisała wreszcie jedną korespondencję, podpisała ją pseudonimem, skombinowanym z nazwiska jej i Stefana,—„Bohar“. Nikt się nie domyśli, chyba Stefan, a jej było przyjemnie. Szkoda tylko, że korespondencji czemuś nie umieszczono. Napewno nie doszła. W czasie żniw Hela zachęciła gromadkę dziewcząt i razem z nimi chodziła żąć żyto wdowie Tekli, która sama była chora, a syn jej był powołany do obozu na ćwiczenia wojskowe.

Lato przeszło dla Heli niepostrzeżenie.

Nadeszła jesień, rozhulały się wiatry. Kędzierzawe, niskie chmury nieskończoną kądzielą zasnuwały niebo, siejąc chłodnym deszczem i drobnym gradem. Zatrąkotały międlice na podwórzach koło włościańskich chat, zastukały cepy na klepiskach... Monotonną pieśń śpiewała jesień, żałośnie szumiał obnażony las. Wieczorami nawpół ślepe okna chat włościańskich migotały mdłymi światełkami z pod strzech, jakby zmrużone i wyblakłe starcze oczy z pod nawisłych brwi.

W Zaborcach było kilka chat, bardziej obszernych i jasnych, gdzie w długie wieczory jesienne zbierała się młodzież. Schodziły się na te wieczoryniki dziewczęta z prząsanicami i kołowrotkami, przyłączali się do nich chłopcy. Nie tyle było tu roboty, ile śmiechu, żartów, pieśni i wszystkiego tego, czego pragnie młodość. Odpowiednio do swego gustu i swego poziomu kulturalnego młodzież znajdowała sobie rozrywki. Do Heli przychodziły również jej towarzyszki. W naturalny sposób dokonał się tu piewen dobór i podział młodzieży. Dokoła Heli grupowała się przeważnie młodzież nowego kierunku, młodzież nieco oświecona, lubiąca książkę, młodzież, szukająca dróg ku nowemu życiu. Chatę Heli na drwiny nazywano „Rabfakiem“. Tak przezwali ją chłopcy, przedstawiciele starej wsi. Przecho-



dząc wieczorem obok chaty Andrzejów, chłopcy dziko gwizdali hukali, rzucali nieprzyzwoite żarty. A potem któryś z nich nawet piosenkę o Heli ułożył:

Zrobiłam się uczona,  
Nieprzystępna, czerwona.  
Nie chcę już gospodarza,  
A wyjdę za komisarza.

Heli sprawiało to wielką przykrość, ale starała się jednak nie zwracać uwagi na takie żarty.

Niezadługo przed siódmą rocznicą rewolucji zebrała się za-  
borcowska młodzież w szkole. Była tu Hela i jej towarzyszk:  
Mania Hulko, Marynka Prokopczyk, Luba Andruczenia, a także  
chłopcy: Mykita Dudzik, Makarka Łagun i inni. Przygotowy-  
wali się do święta. Odbywała się repetycja, zamierzano wy-  
stawić jedną ze sztuk Hołubka. Repetycją kierował nauczyciel,  
Emiljan Redzka. Artyści byli przejęci swymi rolami i wyko-  
nywali je starannie.

— Doskonale!—chwalił artystów nauczyciel.

Ledwie się zakończyła repetycja, gdy do szkoły wszedł  
młody nieznajomy chłopiec, wysoki, czarny, z błyszczącymi  
oczyma, zgrabny i dosyć przystojny. Jego przybycie było nie-  
oczekiwane i zaciekało młodych artystów. Nauczyciel pod-  
szedł do niego. Nieznajomy przedstawił się i powiedział, po  
co tu przyjechał, a wtedy nauczyciel zwrócił się do młodzieży:

— Towarzysz przyjechał z Mińska w sprawach jacejki  
komsomolskiej.

Nauczyciel wyszedł, a młody chłopiec podszedł do młodzieży,  
przywitał się.

— Pozwólcie mi zapoznać się z wami. Moje nazwisko—Szu-  
lewicz. Chcę zapoznać się z waszą robotą i naogół jak życie,  
w czym wam trzeba dopomóc.

Szulewicz był już w kilku miejscach. Delegacja jego oka-  
zała się bardzo ciekawa, ale to zadanie, które jako cel posta-

wił sobie przed wyjazdem z miasta, wykonać było trudno: wszystko to były osobiste ludzkie sprawy, jak do nich podejść? Prawda, zebrał już bardzo wiele ciekawych materiałów, zarzucono go pytaniami, skarżono się na brak literatury i na to, że centrum niedość odczuwa kulturalne potrzeby prowincji. Zapoznanie się z jacejkami komsomolskimi na prowincji naprowadziło Szulewicza na myśl napisania innego referatu—o potrzebach i pomocy organizacji komsomolskiej na wsi.

W drodze uspokoił Szulewicz swe myśli o Ninie.

Jeśli rozpatrzyć bezstronnie, to nie on ją, ale ona jego rzuciła i to jeszcze tak ordynarnie, ze skandalem. Nigdy w życiu nikt nie powiedział mu tylu obraźliwych słów, co ona. Czyż taki człowiek może cię odczuć? On gotów był okazać jej pomoc, a jeśli ona plunęła mu w twarz, to czy jego w tym wina? Czasem żal mu się robiło samego siebie, bo i teraz odczuwał tak óstro potrzebę kobiety-przyjaciela, któraby go rozumiała. I czyż nie znajdzie on nigdy takiego przyjaciela? Przed Niną była Gienia, Ksenia, Ola. To wszystko było jednak nie to. I teraz, prowadząc rozmowę z Makarką Łagunem, przypatrywał się ukradkiem dziewczętom. „Śliczna dziewczyna“, pomyślał o Heli. Wreszcie zapytał ją:

— A wy, towarzyszeko, komsomółka?

— Nie, nie komsomółka,—rzekła, uśmiechając się, Hela.

— Nie mamy ich tu jeszcze,—poinformował Dudzik.

— Takie dzielne dziewczęta i nie komsomółki,—zauważył Szulewicz i zwrócił się do dziewcząt z krótkim przemówieniem.

Wysłuchawszy przemówienia, Marynka Prokopczyk, całkiem niespodziewanie dla mówcy zapytała:

— Jeśli do komsomolu pójdą wiejskie, to co będą robić wasze miejskie?

— Jak to, co będą robić?—zmieszał się trochę Szulewicz.

— Poodbijają im wszystkich komsomolców,—odpowiedziała żartem Marynka.

Wszyscy roześmieli się.

— Głupie nasze dziewczęta, plotą niewiadomo co,—odezwał się Łagun.

W Zaborcach musiał Szulewicz zanocować. Wieczorem młodzież zebrała się w chacie Helenki. Zaszedł tam i Szulewicz. Gdy się dowiedział, że Hela zamierza uczyć się dalej, pochwalił jej projekt.

— Witam wszystkich, którzy garną się do nauki,—mówił, przysiadając się do Heli:—a co do was, to uważam, że grzech byłby, gdybyście się marnowali w tej głuszy. Powinniście utrować sobie drogę i wyrwać się na szerokie przestwory życia.

— A gdzież są takie szerokie przestwory życia?—zapytała Helenka.

— W szerokim rozmachu pracy społecznej, pracy nad utrwaleniem pozycji, które zdobył Wielki Październik.

— A czy w głuszy niema takich przestworów?

— Głusza zagłuszy was. Trzeba pomieszkać w mieście, pouczyć się, rozwinąć i uzbroić swój umysł, a wtedy i głusza nie straszna.

— Ja też chcę się uczyć. Ale potym znowu wróciłabym na wieś: pracowałabym tu, jako nauczycielka, na przykład.

Szulewicz spojrział jej w oczy.

— Wy, Heleno, jesteście człowiekiem, który odrazu usposabia do siebie przychylnie. Bywają na świecie tacy ludzie. Nie znałeś ich dotąd, a spotkasz, przemówisz do niego, usłyszysz jego głos, i zda ci się, że go znasz od dawien-dawna. Wydaje się jak gdyby ktoś rodzony, przyjaciel najbliższy... Chcecie, będziemy przyjaciółmi?

Hela spojrzała na niego badawczo.

— A wy pewnie wielu musicie mieć takich przyjaciół?

Szulewicz westchnął.

— Bardzo trudno ich znaleźć.

— Ale ich wciąż szukacie? A dlaczego myślicie, że ja mogłabym być waszym przyjacielem?

— Mam takie przeczucie. Tak mi się zdaje.

Hela roześmiała się.

— A u nas na wsi mówią, gdy się coś komu zdaje: „przeżegnaj się, nie będzie ci się zdawać“.

— Z wami trzeba rozmawiać ostrożnie.

— I trzeba zawsze zastanowić się, co się mówi. To moja mama tak powiada.

Szulewicz zamilkł i bębnił palcami.

— A gdzie wy się uczycie?—zapytała znów Hela.

— Na II-m kursie rabfaku.

— A czy znacie tam... Borutę Stefana.

— Znam... A wy skąd go znacie?—zdziwił się Szulewicz.

— Toż to przecie nasz chłopak, z naszej wioski.

— Nie wiedziałem wcale.

— Jakżeż, uczyliśmy się razem. I trochę się nawet na niego gniewam.

— Za co?

— Za to, że dotychczas nie znalazł we mnie przyjaciela.

Szulewicza uderzyło coś.

— A czy on do was pisuje?—zapytał.

— Może jeszcze spytacie, o czym pisuje?

„Czy nie napisał on czegoś o mnie?“, pomyślał Szulewicz i postarał się skierować rozmowę na inne tory.

Przy pożegnaniu Szulewicz długo trzymał rękę Heli w swej dłoni, prosił Helenkę, aby napisała do niego, on jej chętnie odpowie na list, gotów jej dopomóc wszelkimi sposobami jako przyjaciel, jako towarzysz. A kiedy Hela namyśli się przyjechać do Mińska, to może śmiało zająć do jego mieszkania: trzeba raz i nazawsze skończyć z tym mieszczaństwem—nowe życie trzeba budować na nowych podstawach.

Niedaleko od „świętego źródła“, na lewo od drogi na Zagórze, leży od wieków przepastne bagno, Zgniłe Błoto. Nikt nie pamięta, kiedy ono powstało. Ani legend, ani podań nie pozostało o tym. Zajmuje ono olbrzymią przestrzeń, włók około dziesięciu. Tu i ówdzie trafiają się na tym bagnie niewielkie wysepki bujnej twardej osoki, kępy wysokiej mietlistej trzciny. Zielonemi szlakami ciągną się szerokolistne ajery, a sitowie o nagich czubatych źdźbłach zwiesza się nad smolisto-czarną taflą „djablich okien“, ozdobionych okrągłymi wodnemi łopuchami. Człowiek ani bydło nie mogą stąpić na bajory Zgniłego Błota. I leży ono, zasnutę tumanem zgnilizny, pełne robactwa, komarów, roznoszące zarazę. Za bagnami rozpoczynają się Suche Pagórki. Z pagórków tych również nie mają żadnej korzyści zaborowcy, bo wypala je słońce i nie rośnie na nich trawa. Próbowali tu i ówdzie zasiewać, ale zarzucili, bo na piaskach nic nie rosło, a gnoju podwieźć po roztrzęsionej grobli obok Zgniłego Błota i trudno było i nie opłacało się. Tak więc pustkowały, leżały odłogiem i bagna te i te pagórki.

O tym to Zgniłym Błocie i o tych Suchych Pagórkach myśli często Stefan Boruta. Tak żywo stoją w jego pamięci, że ma przed oczyma najmniejszy ich szczegół. Wie, że Suche Pagórki stromo spuszczaają się w dolinę rzeki Miranki. Jego zdaniem Zgniłe Błoto leży powyżej koryta rzeki. Aż się naprasza myśl—przerznąć głębokim kanałem łono Suchych Pagórków i spuścić Zgniłe Błoto do Miranki, aby na jego miejscu zazieleniały pyszne łąki. Idea, nad którą warto się zastanowić. To byłaby jego pierwsza podwalina „zrębu dla nowego źródła“.

Już wtedy, gdy Stefan sprzeczał się z Szymonem Gałyzą o traceniu słów na darmo, żyła w nim ta idea. Ale była ona pierwszym i maleńkim tylko ogniwem w systemie Stefanowego planu pracy na wsi. Plan ten powiązał on z ideą ekonomicznej kultury kraju. Im więcej zastanawiał się Stefan nad swym planem,

tym mocniej ugruntowywało się w nim przekonanie o jego niezbędności, tym bardziej realne formy on przybierał.

Według Stefanowych myśli, rozwój ekonomicznej potęgi kraju wtedy dopiero pójdzie odpowiednim krokiem, gdy poczynania państwa nie tylko spotkają całkowite poparcie włościanstwa, ale kiedy sami włościanie przyjdą z pomocą państwu. A dla tego trzeba wychować w nich dyscyplinę społeczną, inicjatywę własną i nawyk do kolektywnej pracy. Środkiem takiego wychowania mogą być związki, które Stefan nazwałby „kolektywami pracy“. Pracy społecznej dla takich kolektywów starczy w każdym osiedlu. Stefan chce właśnie przekonać się czy można występować z propagandą takich związków. Z takimi myślami jechał do swych Zaborców po dwuletniej z nimi rozłące.

Stefan był już teraz dorosłym młodzieńcem. Szeroki w barach, krzepki jak dąb, czynił wrażenie człowieka spokojnego, ufego w swe siły. Szare jego oczy spoglądały mądrze i poważnie, chwilami z lekką ironją.

Jego przybycie do Zaborców było całym zdarzeniem w życiu wsi, bo przecie w swoim czasie narobił on tyle hałasu, że długo o nim mówiono i wrócono mu nieludzką dołą. Okazało się jednak, że wrócił żywy i zdrowy, i w kaszę dmuchać sobie nie pozwoli.

Zawróciwszy w swoje obejście, Stefan spotkał się z ojcem. I syn i ojciec zatrzymali się i w milczeniu popatrzyli sobie w oczy. Powaga znikła raptem z twarzy Michała Boruty a oczy zajaśniały mu radością.

— Patrzcie, jaki dąb! Burza go nie powali!—i nuta zadowolenia zadźwięczała w głosie Boruty-ojca.

— Oho, ojczel! Dosyć się burzom kłaniać!

I ojciec i syn uścisnęli się za ręce.

— A niezgorzej was tam karmią, dalibóg... No, zuch, żeś się na ojca nie zaciął. Chodźmy do chaty... Dawaj-no swoją „walizę“.

Nie zrobili nawet dwóch kroków, jak z chaty wybiegła matka.

— Ach, syneczku mój, Stefanku!—i ze łzami rzuciła się do syna.

— Może spróbujesz wziąć go na ręce,—zażartował Michał.

— Wszyscy troje weszli do chaty. Zaraz przybiegł i Jurek. Olesia nie było w domu, poszedł w pole. Matka zarzucała syna pytaniami, płakała i śmiała się.

A Stefan poważnie otworzył naładowaną walizę i wydobyl stamtąd wielką wełnianą chustkę, podarunek dla matki, a potem wyciągnął buty na ojcową nogę, a dla braci dostał kawał materjału na koszulę, oraz ołówki i kajety. Jurek odrazu pobiegł z ołówkiem na ulicę, aby pochwalić się swym gościńcem i nawet podpisał się parę razy na ścianach. Podeszli krewni i sąsiedzi. A po Zaborcach piorunem rozniosła się wieść, że Stefan „nawiózł“ do domu wszelakiego dobra.

Pod wieczór tego samego dnia poszedł Stefan za wieś.

— Dokąd ty, synku, pójdziesz?—zapytała matka.

— Przejdę się ku „świętemu źródłu“.

— Abyś je, synku, nie zaczepiał tylko,—zaniepokoiła się matka.

— Nie,—machnął ręką,—co innego całkiem mam w głowie.

A potem, zatrzymawszy się, powiedział do ojca.

— Wiesz, ojcze, co ja tu chcę robić.

— No?

— Chcę spróbować spuścić Zgniłe Błoto do Miranki.

Popatrzył Michał na syna i twarz mu się jakoś zmieniła.

— Taką myśl, bracie, i ja kiedyś miałem, dalibóg!

Zamilkł.

— Sedno w tym, żeby znaleźć ręce,—powiedział stary,—no i głowa także potrzebna, która mogłaby pokierować całą robotą.

— Ho,— wesoło odezwał się syn:—jeśli taka myśl była w twojej głowie, to była ona napewno i w innych głowach.

— Cóż ty chcesz powiedzieć, że moja głowa gorsza od innych?

— Nie, ja chcę tylko powiedzieć, że Zgniłe Błoto nie będzie już błotem.

— O, to trochę trudniej, niż rozwalić „święte źródło“.

— Zobaczymy.

Stefan wyszedł, a Michał stał na podwórzu, spoglądał w ślad za odchodzącym i coś rozważał, a potem kiwnął sam sobie głową. „Ma chłopak łeb. Widzicie, co to wymyślił.. No, no... Sławy przysporzyłby sobie. Ciekawe, któredy też myśli przeprowadzić kanał“?

Przechodząc koło „świętego źródła“, Stefan zatrzymał się. Nowy krzyż i zrąb zdążyły już posiwieć. Stefanowi przypominała się noc, kiedy wraz z chłopcami burzył tę kapliczkę. „Zburzyć trzeba samą ideę, a zrąb i krzyż—cóż“? pomyślał sobie i poszedł dalej. Po dziesięciu minutach stał już nad Zgniłym Błotem i spragnionym wzrokiem oglądał jego topograficzne położenie, jego zieloną szatę ajerów, trzcin, sitowia i napuszonych kęp. Z jednej strony dokoła bagna prawidłowym dosyć półkołem ciągnął się wał. Na tym wale, pochylwszy się nad moczarami, rósł stary-stary dąb, gruby i niski o uschłym wierzchołku. „Czy nie było tu kiedyś jeziora“, pomyślał Stefan. Drugim półkołem moczary opierały się o Suche Pagórki. Pagórki leżały znacznie niżej od przeciwległego wału. Tak, nie omylił się: na oko widać, że bagno leży powyżej doliny Miranki. Spuścił się w dolinę, zatrzymał się, miarkując coś, a potem zawrócił ku Zgniłemu Błotu, licząc po drodze kroki. Tysiąc osiemset kroków, trochę więcej niż wiorsta.

Oględziny te zupełnie zadowolily Stefana,—można śmiało przystępować do roboty. Za dobry znak uważał on to, co powiedział mu ojciec.



„No, bagniska, weźmiemy się z wami za bary, zakłócimy wasz spokój“.

Zmierzch już zapadł, gdy Stefan wracał do Zaborców. A na ulicy babka Agata opowiadała sąsiadce Tekli:

— Koło „świętego źródła“ stał i oglądał się. A potym chodził pomiędzy rzeczką i Zgniłym Błotem!—Babka Agata mówiła to tajemniczym szeptem.

— Duszę mu gnębi niepokój! — z przekonaniem rzekła Tekla:—„Święte źródło“ nie wychodzi mu z pamięci.

I zaraz opowiedziała pewien wypadek ze studentem, który zdejmował klejnoty z matki boskiej. „Cały czas potym matka boża stała mu przed oczyma. I cóż? zwarjował. To przecie nie żarty“!

Tegoż wieczora w chacie Konrada Hugi odbyło się zebranie, zwołane z powodu przyjazdu Stefana. Stefan sam przez Jurka posłał zaproszenie do Heli. Zebrało się sporo chłopców i dziewcząt.

— Towarzysze,—zwrócił się Huga do zebranych,—przyjechał do nas nasz towarzysz i swojak, Stefan Boruta. Spędzi z nami całe lato. Ma on plan roboty, którym chce się z wami podzielić.

W zwięzłych i prostych słowach opowiedział Stefan zebranym o zadaniach ekonomicznego odrodzenia kraju i, przede wszystkim, o czynnym udziale młodzieży w budownictwie gospodarczym. Potym przeszedł do swego planu. W miarę tego, jak wykladał swój plan, rosło wciąż zainteresowanie słuchaczy. A wabiła ich i pociągała nie tyle korzyść, wynikająca z urzeczywistnienia Stefanowych planów, ile rozmiary i ogrom zadania, które przed nimi wyrastało. Kiedy wreszcie Stefan zagadał o organizacji „kolektywów pracy“, o ich zadaniach i działalności, to wszyscy jak jeden postanowili odrazu utworzyć taki kolektyw.

— Do niego się przecie nawet stare baby zapiszą, jeśli zwąchają, że ze Zgniłego Błota można siano zbierać,—zauważyła Marynka Prokopczykówna.

„Dobry początek“, pomyślał Stefan.

Hela, wedle umowy, czekała na Stefana na ścieżce za Demjanową stodołą.

— Chciałem się dziś jeszcze z tobą, Helu, zobaczyć, więc zaproszenie ci posłałem. No, pokaż się, co za człowiek z ciebie wyrósł?

— Jaki tam ze mnie człowiek?—zawstydziła się Helenka.

— I człowiek i dziewczucha z ciebie setna,—popatrzysz na nią, powiedział Stefan.

— Bardzo jestem rada, jeśli prawdę mówisz.

— A jak twoje przygotowanie?

— Kiepsko. To to, to tamto przeszkadza i czasu wciąż mało.

— A wiesz co, Helu?—możebyś ty do techniki pedagogicznej spróbowała? w końcu lata mogłabyś pojechać...

— Do Mińska?

— Właśnie. Pomyśl. Nauka tam postawiona dobrze...  
Jest sens.

— Chyba, że do techniki. Ja sama myślałam o tym trochę.

— A jak ci się powodzi, Helu?

— Niezgorzej. A jak ty zmężniałeś, Stefku, nie poznać!

— Do Szulewicza pisałeś?

— Nie: będę tam pisać licho wie do kogo! Powiedz, co to za człowiek?

— Pięknie gadać lubi i... dziewczęta zwodzić. A co najgorsza—dziewczęta go kochają.

— A czyż ciebie nie kochają?

— Stefan westchnął, a potem rzekł:

— Chciałbym, żeby mnie pokochała... no, tam jedna.

— Która?—cicho spytała Helenka.

— Ta, którą pocałuję.

Objął Stefan Helenkę i pocałował.

— Głuptas z ciebie: ta przecież kocha cię dawno-dawno.—  
I Hela sama przytuliła się do Stefana. Całował ją Stefan, a po-  
tym powiedział:

— Pamiętaj, Helu: nikt cię tak nie pokocha, jak ja. Mam  
ciebie jedyną i więcej nie pragnę nikogo.

— Prawdę mówisz?

— Żebym nie osuszył bagniska, jeśli kłamię,—zaklął się  
Stefan.

— Teraz ci wierzę,—zaśmiała się Hela:—jakiś ty miły,  
drogi, kochany i śmieszny.

Cudną była ta noc, szkoda tylko, że rychło świta w ta-  
kie piękne noce.

## XX

Od samego rana następnego dnia poszły po Zaborcach ga-  
wędy o Stefanie. Jedni mówili, że chłopak zwarzował, i to  
jest kara boża za „święte źródło“. Takie słuchy rozpuszczały  
babki Tekla i Agata. Inni, naodwrot, mówili, że mózg jego  
pracuje bardzo dobrze i nie jednemu ojcu nie zaszkodziłoby  
mieć takiego syna. Ale kiedy rozniosła się wieść, że Stefan  
zamierza osuszyć Zgniłe Błoto, to ludzie zrazu nie wiedzieli,  
co na to powiedzieć, i jak sobie tłumaczyć ten śmiały zamiar.  
Jednym słowem, Stefan stał się najbardziej interesującym czło-  
wiekiem, jaki był kiedykolwiek w Zaborcach.

O wszystkich tych gawędach dowiedział się Stefan, bo prze-  
cież miał tutaj i prawdziwych przyjaciół. Wszystko wziął on  
pod uwagę i wieczorem zwołał do szkoły zebranie. Nigdy nie  
było w Zaborcach tak tłumnego zebrania. Stefan mówił tak  
prosto i rozumnie, że słuchano go z wielką ciekawością. Koń-  
cząc swe przemówienie, Stefan powiedział:

— Spodziewam się, szanowni ojcowie-obywatele, że do-  
pomoczenie nam, młodym, swym rozumem i bogatą praktyką  
życiową, i gromadą skończymy tę pracę za dwa miesiące.

— Widzisz, z jakim szacunkiem mówi o starszych,—trącił łokciem swego sąsiada Mikołaj Zubnik.

— Tak, zuch z niego!—odezwał się sąsiad Michał Hudacz.

A kiedy po Stefanie zabrał głos szanowany przez wszystkich nauczyciel Emiljan Piotrowicz, i poparł Stefana we wszystkich punktach, mówiąc o nim, jako o jednym z najlepszych swych uczniów, z którego śmiało dumny być może, to Stefan bardziej jeszcze wyrósł w oczach włościan.

— Cóż?—w dobry czas.

— Pomożemy,—sobie to przecież, nie komuś.

Stefan pokłonił się zebranym.

— Tak i przypuszczałem, szanowni ojcowie, że nam do pomocy.

Zaszumiały, zadzwoniły młodemi głosami i dźwiękiem łopat Suche Pagórki. Dwudziestu chłopców i siedem dziewcząt wyszło na robotę. I robota odrazu zakipiła. Postawili dwie tyczki ze słomianemi wiechami koło rzeczki Miranki, wyznaczili miejsce, kędy powinien przejść kanał i przeprowadzili pod sznur dwie równe brózdki w odległości sążnia jedna od drugiej. Daleko do tych tyczek, ledwie je dojrzy bystre młode oko...

Złocą się w pierwszych promieniach słońca piaski Suchych Pagórków, siwemi mgłami otuliło się Zgniłe Błoto, a staruszek dąb po za moczarami stoi milcząco, grzeje na słońcu swą łysą głowę i podtrwiwa: „Ano, powojujcie“,—jakby drażni młodzież. Trwoży się Helena: „Czy zdołasz ty, Stefanku, do końca robotę doprowadzić?“—myśli sobie. A Stefan, poważny i spokojny, porządku pracy pilnuje, od strony moczarów tamę zostawia, żeby do kanału woda nie wpadła, robocie nie przeszkadzała. Podzielili chłopcy między siebie robotę.

— Dawaj po dwa sążnie na chłopca!—słychać głos.

— Nie gorączkujcie się, towarzysze!—powstrzymuje Stefan!—pomału, powoli się zabierzemy, aby nie ustać odrazu—

roboty wystarczy. Kanał tu, chłopcy, będzie najgłębszy: tutaj najwyższa część pagórków, a dalej będzie lżej.

— Zaczynamy,—krzyknął Makary Łagun.

Wzwały się łopaty w ziemię, poleciały bryły na prawo i na lewo.

— Wolniej, wolniej, chłopaki!—hamuje Stefan zaciętych towarzyszy, a sam ciska w powietrze ziemię. Rośnie wał ziemi, opuszczają się w dół kopacze.

— Odpoczynek, chłopcy!—komenderuje Stefan.

— Wyłażą młodzi robotnicy, twarze od pracy rozpalone, wesoło zartują w czasie odpoczynku.

Przybiegli chłopcy-podrostki. Popatrzyli na świeży nasyp, wesoło im się zrobiło. Chwytają za łopaty, wlażą do rowu, kopią, starają się.

— Ot i pomocników już mamy,—mówią starsi chłopcy.

— Zuchy, chłopaki!—chwali ich Stefan:—uczcie się gromadą pracować. Tylko porządnie kopcie, ot tak jak tutaj zaczęli od wierzchu szeroko, a dołem wąziej.

Starzy zaborowcy – jak chmury po nawałnicy. Jeszcze się nie namyślili, nie przyszli do żadnego pewnego poglądu. Jedni chodzą i uśmiechają się pod wąsem: zajadle jakos młodzież chwyciła się za robotę, patrzcie, żeby jutro nie ustała. Inni nie mogą jakos uwierzyć, aby można było do roboty tyle narodu wciągnąć, a ci poskrobia, poskrobia i rzucą. Trzecich zazdrość trochę i strach oblatuje, aby z nosem nie pozostać. Czwarci na oko obliczają, ileby z tego Zgniłego Błota siana można zebrać. Na jedno tylko wszyscy się zgadzali: Zgniłe Błoto przykuło teraz do siebie uwagę każdego z nich. Interesowało wszystkich, jaki też z tego skutek będzie. I już po obiedzie to ten, to ów zawróci pod Zgniłe Błoto, aby choć zdaleka popatrzeć, co się tam dzieje.

Wuj Szymon po cichu zabrał łopatę i również pociągnął ku Suchym Pagórkom. Schował łopatę w krzakach, a sam do

miejsca roboty się zbliża, zwalnia kroku, rozgląda się. Patrzy —wał wysoki rośnie, ziemia w powietrzu aż fruwa, kopaczom tylko czapki i chustki widać. Śmiech sam jakoś zlatuje na usta wuja Szymona. Robota idzie, a wuj Szymon lubi doradzić. Podchodzi.

— Dopomóż wam...—zaczyna wuj Szymon i nie kończy: boskiej pomocy im przecie nie trzeba:—no, Trocki, czy kto,—kończy.

— Pionier!—huknęły chłopaki z rowu:—hurra, wuj Szymon przyszedł.

— A czemuż to, wuju, bez łopaty?—zapytał go któryś.

— Ja tylko tak sobie popatrzeć chciałem.

— Dobrze i to, że wuj chociaż i popatrzeć przyszedł.

— Ech, wy!—powiedział wuj Szymon i nagle do krzaków zawrócił, a stamtąd z łopatą idzie.

— Brawo, brawo, wuju Szymonie!

— A wyście co myśleli, że wuj Szymon niezdarą, ha?

I zajmąwszy działkę ziemi, zaczął wyrzucać ją nie gorzej od młodych.

— Nie bój się, Helu,—mówi do niej szeptem Stefan:—patrz, tam jeszcze dwóch staruszków koło moczarów się kręci.

Helena uśmiecha się radośnie, w oczy mu zagląda.

I prawda, co dzień przybywali nowi robotnicy. Zabraknie jednego, dwóch staje na jego miejsce. Sama praca pociąga, podbija ludzi, bo tyle w tej wspólnej gromadzkiej pracy i muzyki, i poezji, i siły, i piękna.

Coraz głośniejszą gwarzą Suche Pagórki, a moczary mileczą ponuro, otuliwszy się zieloną szatą. Dąb-staruszek z poza moczarów spogląda na Suche Pagórki, jakby się gromadą lubował. A gromada pracuje. Coraz gęściej lecą szare, żółte i białe grudy ziemi, srebrem i złotem kładą się po obu stronach kanału. Przekopali do miejsc niżej położonych i jeszcze zwa-wiej posuwa się kanał naprzód. Aż miło popatrzeć! Cała wieś

zbiera się tu czasem. Jedni—pracują, inni—tak sobie, oczy ucieszyć przychodzą. Obcy nawet ludzie zaglądną tu często. Patrzą i głowami kiwają.

— Łąki, bo łąki będą!—mówią i Zgniłe Błoto wzrokiem ogarniają.

— Osuszyćby i nam swoje błota!

— Ba, a któż będzie nami komenderował?

— I Miranki takiej u nas niema pod bokiem.

A zaborowcom potym ochoty jeszcze przybywa.

Zatrzymają się czasem koło Zgniłego Błota stare dziady, patrzą, rozważają, projekty różne miarkują. Nie brak i techników-specjalistów: co poradzi który, jakby palcem w niebo trafił.

— Wielka sztuka!—piasek każdy kopać potrafi, ale powiedzcie, jak to po błocie skakać będziecie?—odezwie się głos niedowiarka.

— Nie bójcie się, ojcze: pogadamy z błotem, damy mu radę,—uspokaja Stefan.

— Młode nogi nawet w błocie nie zagrzną,—hardo woła któryś z młodych.

Teraz starych nie przegnasz stąd nawet siłą, zasmakowała im ta praca. Sprawa stała im się bliska, nie wychodziła z głowy, przejmowała do głębi duszy. A praca była trudna, zdarzały się przeszkody: rozpościerały swoje srebrzyste sieci burze i deszcze, wodą kanał zalewały, letnie roboty wkrótce nadeszły, sianokos, zniwa. Rąk roboczych ubywało. Ale Stefan uparcie robił swoje, robota ani razu się nie przerywała. Koło dwudziestego lipca równy, głęboki, prosty kanał leżał już między moczarami i rzeką. Zostało jeszcze jednak wiele roboty: rów trzeba wybrać na błotach i przekopać zastawę, aby kanał połączyć.

Wiele tu było gawęd, sprzeczek i projektów, jak dalej pracę poprowadzić. Jedni radzili usypać groblę z dwóch stron dla robotników, którzyby stojąc na niej pośrodku rów przekopali.

— A my to zrobimy prędzej i prościej,—powiedział Michał Boruta.

On również wziął blisko do serca tę sprawę i pomagał synowi. Zbili z desek dwie pary przenośnych kładek i przywieźli je. Kładki zarzucono na bagno, stanęli na kładkach robotnicy i dalej tarmosić Zgniłe Błoto. Kowal Maciuta zrobił specjalne łopaty-czerpaki i sam je tu przywiózł. Przed zastawą dla wody oczyszczono szerokie miejsce. Robota zbliżała się ku końcowi. Wieś się niepokoila. Z niecierpliwością oczekiwano dnia, kiedy zostanie przekopana przegroda.

Trzy dni jeszcze pozostało do odpustu.

— My tu swój „fest“ wyprawimy,—powiedział Stefan, bo młodzież umówiła się otworzyć kanał w ten dzień akurat, kiedy ludzie zbiorą się koło „świętego źródła“. Przygotowali wszystko zawczasu. Przed tamą nabrało się wiele wody z błota. Na oczyszczonym miejscu utworzyła się już cała sadzawka, a wody wciąż przybywało. Nawprost ujścia kanału zbudowali tamę z desek, a ziemię wykopali. Poprzez szczeliny w deskach woda sączyła się powoli i maleńki strumyk popłynął dnem kanału ku Mirance.

Oczekiwany dzień świąteczny wypadł jasny i ciepły, taki akurat, jak przed dwoma laty. Ludzie zaczęli się zjeżdżać do Zaborców od samego rana. Wszystkie podwórza zajęli przyjezdni. A Zaborce żyły tylko rozmowami o kanale. Na Suchych Pagórkach koło kanału narodu było jak maku i swoich, i obcych. W południe, kiedy zaczęła się zbierać procesja ku „świętemu źródłu“, chłopcy szkolni zakrzyczeli:

— Wodę spuszczać, wodę spuszczać!

Tłum się zafalował, powalił wielką gromadą. Obejrzał się ojciec Tytus i nie wiedział, co myśleć: czy to ku „świętemu



źródłu" naród tak wali, czy też na kanał popatrzeć. I serce mu od trwogi zabiło. „A może mi ten łajdak znowu dopomocze“, pomyślał i z niepokojem w sercu klepał święte litanje.

Przy „świętym źródle“ zostały jednak tylko stare babki i kaleki, bo nawet niektórzy żebracy z lirami i harmonjami ruszyli za narodem na Suche Pagórki.

Obok drewnianej tamy chłopcy usypali pagórek z ziemi. Na tym pagórku stał Stefan Boruta i cała młodzież, która co dnia wojowała tu na froncie pracy. Ogorzali, strudzeni ciężką pracą, weseli byli i radośni. Dumni byli świadomością, że dokonali wielkiego dzieła. A teraz nadeszła właśnie ta ważna chwila, oczekiwaniem której żyli w ciągu całego czasu swej wytrwałej pracy.

— Towarzysze i obywatele!—zadźwięczał młody głos.

Poruszył się tłum ludzki i zacichł. Na samym wierzchu pagórka stał bez czapki Stefan Boruta i mówił:

— Radzi jesteśmy, że przyszliście na nasz „fest“, na nasze młode święto pracy. Pracowaliśmy, aby z bystrą rzeką spuścić zgniliznę tych moczarów, aby na ich miejscu zazieleniły się trawy gromadzkich łąk. Setki lat kłanialiście się koronie „świętemu źródłu“ i setki lat leżało to Zgnile Błoto, zarażając powietrze i roznosząc choroby. I „święte źródło“ nie pomóc nie mogło. Towarzysze! zastanówcie się nad tym. „Święte źródło“ i modlitwy popów nie dadzą nam szczęścia i dobrobytu, bo szczęście i dobrobyt—w nas samych. Dokonaliśmy tu próby, aby pokazać potęgę zgodnej gromadzkiej pracy, i tu widzicie jej wyniki, widzicie własnymi oczami. Ale my zrobiliśmy dopiero małą cząstkę tego, co trzeba zrobić i co zrobić możemy. Nie mamy jeszcze dobrego pomieszczenia dla szkoły, a gdzieś tam wcale szkoły nie mamy, nie mamy domu ludowego, biblioteki, nasze dzieci wałęsają się latem bez opieki, nasze słomiane strzechy sprzyjają pożarom, nasze drogi toną w błocie, na naszych groblach topią się konie, na naszych mo-

1964 =

stach kaleczą się ludzie i łydło. A wszystko to można naprawić, własnymi rękoma zbudować nowe, mocne, piękne i potrzebne dla nas wszystkich. I dokonamy tego, jeśli występować będziemy gromadą, wspólnie, zgodnie. Niechaj więc żyje wyzwolona praca! Niech rosną i rozwijają się „kolektywy pracy“! Niechaj niedbałość nasza zginie razem z tym Zgniliym Błotem!

Tutaj Stefan razem z młodzieżą z jednej strony, a starsi włościanie z drugiej podnieśli drewnianą tamę, która z ledwością powstrzymywała napór wody.

Z szumem buchnęła w kanał woda i pobiegła dalej i dalej, unosząc z sobą piasek, patyki, trawę. Wzdłuż kanału stał po świątecznemu wystrojony tłum i w milczeniu słuchał muzyki wody. A od „świętego źródła“ dolatywał nudny, monotony, jakby z rozbitego garnka płynący odgłos dzwonu, ale przy szumie płynącej kanałem wody bodaj że nawet słychać go nie było.

---

W tydzień po otwarciu kanału pojechał Stefan uczyć się dalej: skończyły się letnie wakacje. Czuł się Stefan doskonale: po pierwsze jego projekt osuszenia Zgnilego Błota udał się, jak można najlepiej; po drugie, włościanie bardzo serdecznie go przeprowadzali i prosili, aby koniecznie przyjechał do nich następnego lata, a po trzecie—jechała z nim Helena.

Nie było żadnych wątpliwości, że uda jej się wstąpić do techniki pedagogicznej. Helena była pewna, że ze Stefanem wszędzie dadzą sobie radę, ale trzeba się jeszcze wiele uczyć aby w przyszłości, ręka w rękę pójść razem w szerokie przestwory życia.



CENA 1 rub.

*Handwritten red ink scribbles, possibly initials or a signature.*



B00000002737032

